BIBLIOTEKA

w obronie króla 3

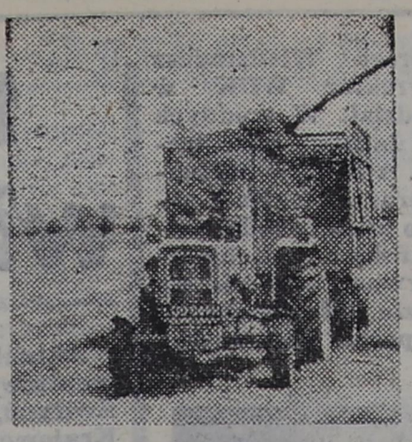

pod prąd pod wiatr 4

w kręgu magii 12

potrzebny partner do tańca 14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

38
(65)
KONTAKTY
27.IX.1981
Cena 6 zł

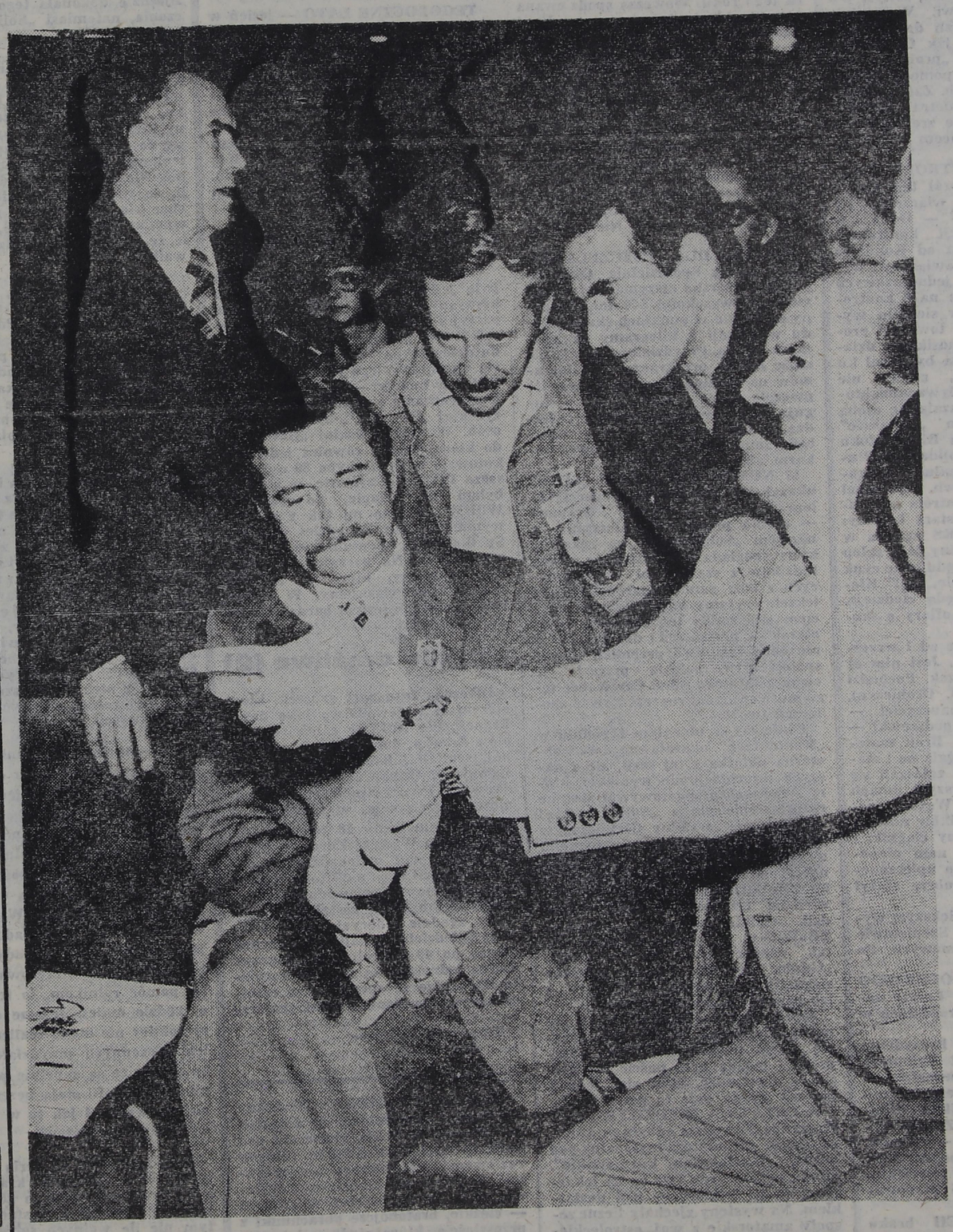

„Kontakty" na zjeździe „Solidarności"

Oliwskie bachanalia

ADAM JERZY SOCHA

Gdansk w dniu 5 września 1981 roku sprawia wrażenie człowieka, który rozpiął hamak nad kraterem czynnego wulkanu dla zażycia popołudniowej drzemki. Mekka „Solidarności", witająca zazwyczaj przybyszy rozkrzyczanymi od haseł i rysunków murami, kipiącymi od dysput ulicami, w ten szczególny dzień otwarcia Zjazdu zdaje się być oazą spokoju. Na ulicach nieliczni spacerowicze. Wśród plakatów po niedawnym „Festiwalu Piosenki Zakazanej", nie uświadczysz zjazdowych. W kolejce elektrycznej jadącej w kierunku Przymorza, gdzie stoi hala „Oliwii" — miejsce Zjazdu — siedzi kilku pasażerów bez śladów ożywienia. Tylko gdy mijamy bramę stoczni im. Lenina, głowy mimowolnie odrywają się od gazet. Na murze ogromne litery namalowane biała farbą: „TELEWIZJA KŁAMIE", „PR i TV WŁASNOŚCIĄ NARODU". Te hasła, obok „UWOLNIĆ WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH" mówią, że spokój jest pozorny i pozwalają wierzyć, że czas sierpnia nie zastygł jak owad w bursztynie

I — W kagańcu nie wystąpimy.

Z kolejki pędzę na złamanie karku do „Oliwii". Jest tuż przed 11.00, a Zjazd miał się rozpocząć o 10.00. Przed halą chmara narodu. Wejścia obstawione porządkowymi — pracownicy stoczni. Mysz się nie przeciśnie. Dla prasy wejście z tyłu. Do tego momentu nie wiem, czy wszystkich dziennikarzy wpuszczają czy tylko wybrańców. Nabieram rozpędu i przelatuję obok porządkowych machając z daleka legitymacją. W holu prasowym ulgowa akredytacja wszystkich. Kontakty? Panienka z ORBISU twierdzi, że kogoś z tego pisma

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

WŁADYSŁAW TOCKI

klika u władzy

STR. 6—7

zdarzenia

POWOLI, LECZ coraz śmielej klaruje się idea Związku Młodzieży Wiejskiej utworzenia w Łomżyńskiem Uniwersytetu Ludowego. Wicewojewoda Kazimierz Ciapka zaproponował na ten cel jeden z zabytkowych dworków w Tarnowie lub w Pobikrach. Oba obiekty są znacznie zniszczone, jednak inicjatorom nie ubywa optymizmu. Mamy nadzieję — powiadają członkowie ZMW — iż do urządzenia Uniwersytetu Ludowego na Ziemi Łomżyńskiej aktywnie włączą się wszyscy jej mieszkańcy, instytucje społeczne, zakłady pracy, spółdzielnie rolnicze.

DOTARŁY PIERWSZE KARTKI — na półtorej tony mięsa i wędlin — od perlejewskich rolników do robotników Ursusa. Idea wyszła z ambony od księdza proboszcza. Podchwycił ją przewodniczący Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, Jan Maćkowiak, sołtysi wsi oraz działacze kółkowi. W gminie różnie rolnicy podeszli do tego pomysłu. Jedne wsie, jak Czarkówka Mała, przystąpiły do „proboszczowego apelu śpieszenia z pomocą bliźniemu" w stu procentach. Zaś w odległej od niej o pół kilometra Czarkówce Dużej dobrowolnie zrezygnowało z kartek tylko 50 procent mieszkańców.

SKUTECZNA KONTROLA to nielegalna kontrola. Morał ten można wysnuć po próbie włączenia się NSZZ „Solidarność" — Oddz. w Zambrowie do akcji kontrolnej. Propozycja wypłynęła od Komitetu Kontroli Społecznej. Związkowi wydano na początek 8 jednorazowych upoważnień. Rezultat: na 8 kontrolowanych sklepów, w siedmiu wykryto zachomikowane towary i produkty spożywcze. Janosikowa działalność związku trwała by nadal ku zadowoleniu klientów, gdyby nie niepokojono sklepu z dywanami, którego kierowniczka okazała się osobą „nietykalną". Po tym „nietakcie" specjalny wysłannik z Białegostoku orzekł, że wydanie „Solidarności" upoważnień było nielegalne i zabronił wydawania dalszych. Personel sklepów odetchnął. Kontrola w Zambrowie powróciła w stare koleiny: trójka kontrolna z KKS zgłasza w Urzędzie Miasta i Gminy jaki sklep nawiedzi i kiedy. Z urzędu idzie cynk do sklepu — „uważajcie, idą!" Kiedyż takie ogłady nabędą złodzieje, żeby uprzedzać swoje ofiary o skoku?

GMINA WĄSOSZ ma od 1 września nowego naczelnika. Jest nim 31 letni Mieczysław Kiliszek. Pochodzi ze wsi Ostrożyny (gm. Drohiczyn), gdzie pracował jako nauczyciel. — Bolączki wsi znam od podszewki — powiedział redakcji — Brak materiałów budowlanych, węgla no i maszyn. Z tymi sprawami zgłaszali się do mnie ludzie w pierwszych dniach urzędowania. Rolnicy Wąsosza powiadają: damy 30 tuczników zamiast 11, ale w zamian chcemy ciągniki i maszyny. Pieniądze są nam niepotrzebne. Życzymy świeżo upieczonemu naczelnikowi, by dobrze służył mieszkańcom gminy.

TAAKIE BUTY! Największym wydarzeniem tygodnia w Szepietowie była dostawa butów zimowych. Po tym szarość.

BUDOWA WOJEWÓDZKIEGO Szpitala Zespolonego w Łomży zaawansowana jest w 40 procentach w stosunku do planu.

OD LIPCA pod nadzór Prezydenta Miasta Łomży przeszedł Rejonowy Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej z deficytem 32 mln zł (w tym Zakład Komunikacji Miejskiej — 19 mln, Miejski Zakład Gospodarki Mieszkaniowej — 12 mln). Jak twierdzi nowy gospodarz, deficyt spowodowało przede wszystkim dotychczasowe beztroskie planowanie.

PO SZEŚCIU LATACH braku własnego wykonawstwa Łomża dorobiła się Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych i Inżynieryjnych. Z braku uzbrojenia nie może ono jednak prowadzić wielu planowanych i rozpoczętych już prac.

PIWA NAWARZYŁY władze oświatowe w Wysokiem Mazowieckiem, a wypić go muszą uczennice Studium Medycznego dla położnych oraz uczniowie Zespołu Szkół Zawodowych. Na siłę upychano coraz to nowe specjalności do budynku, który nie był niestety z gumy. Ciasnota doprowadziła przed nowym rokiem szkolnym do walki między dyrekcjami obu szkół. Komisja, którą powołano dla rozsądzenia konfliktu, swoim wyrokiem tylko dolała oliwy do ognia. Zastępczy lokal po byłym przedszkolu, jaki zaproponowano dla Studium Medycznego oznaczał praktycznie jego likwidację. Specyficzny typ tej szkoły wymaga szczególnych warunków, a barak po przedszkolu nie posiada nawet kanalizacji i tylko jedno ujęcie wody. Decyzję Komisji, acz niechętnie podpisał naczelnik. Dyrektorka szkoły medycznej Marianna Kaganowicz złożyła odwołanie od tej decyzji do władz wojewódzkich. Doszło do spotkania wszystkich zainteresowanych stron. Po wyczerpującej dyskusji połączonej z wizją lokalną w budynku, gdzie mieszczą się obie zwaśnione szkoły oraz byłego przedszkola, wicewojewoda Kazimierz Ciapka, mając do wyboru mniejsze i większe zło — wybrał to mniejsze. Barak po przedszkolu przekazał na tymczasowe sale lekcyjne dla Zespołu Szkół Zawodowych, pozostawiając w dotychczasowym lokum Studium i internat. Prowizorka ta ma potrwać do końca tego roku. Wówczas spodziewana jest likwidacja jednego z urzędów i budynek po nim otrzyma Zespół. Dyr. Jan Kryński nie pogodził się z tym rozwiązaniem, mimo że ponosi również część odpowiedzialności za zaistniałą sytuację, ulegając naciskom władz i tworząc nowe oddziały. Odwołał się od decyzji wicewojewody do wojewody. Nie przyjął proponowanego lokalu i 1027 uczniów pobiera naukę w 14 salach lekcyjnych, przewidywanych na 500 osób. Odwołanie to stawia wojewodę w sytuacji salomonowej. Nie zazdrościmy.

WAŻNE DLA PSZCZELARZY: Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska otrzymała przydział cukru w wysokości 500 ton. Wydany on będzie w punktach skupu miodu w relacji 2 kilogramy za kilogram miodu. Przydzielona porcja nie może jednak przekraczać 10 kilogramów na rodzinę pszczelą. Pracowite pszczoły, które w tym sezonie zasługują na pochwałę (pszczelarze twierdzą, iż jest to rok miodem płynący) będą zmuszone racjonować swój pokarm, aby przetrwać zimę.

17 NUMER BIULETYNU „SENS" ukazał się pod fascynującym tytułem „Sięganie po bagnety". Rysunek — ulotka przedstawia olbrzyma z napisem „Solidarność" na rękawie, który spogląda dobrotliwie na szereg ludzików z szabelkami wybiegających z izby pamięci narodowej. W tekście czytamy m.in. „...grożąc użyciem siły radny ten (Tadeusz Olejniczak — przyp. red.) dał dowód, że nie chce rozumieć przemian jakie społeczeństwo polskie przeszło w ciągu ostatniego roku. Czy wobec tego może on nadal reprezentować społeczeństwo?"

Ponieważ w ubiegłym tygodniu w „Kontaktach" ukazała się dość obszerna notatka z tej sesji, ale z naszych informacji nie wynikało, który z radnych przygotowywał zbrojne rozprawienie się z „Solidarnością" wyjaśniamy, że radny Olejniczak w jednym wystąpieniu przypomniał niefortunny postulat „Solidarności" odebrania nowego budynku ZBoWiD-u na przedszkole. Powiedział też, że ten zamiar wzbudził wielkie oburzenie członków ZBoWiD-u, a jeden z kolegów był tak zdenerwowany, że oświadczył: „Gdyby zaistniała taka potrzeba sięgnęlibyśmy nawet po bagnety z izb pamięci w obronie budynku".

Jeżeli więc już ktoś groził to nie radny Olejniczak. A poza tym sprawę potem wyjaśniono, radny przeprosił i można było puścić ten epizod w niepamięć. Stało się jednak inaczej. Komu było to potrzebne?

W OSTATNIĄ NIEDZIELĘ lata w Myszyńcu-Zawodziu odbyła się kolejna, szósta już impreza regionalna pod nazwą „Miodobranie kurpiowskie". Miodu było prawie tyle co na lekarstwo, za to folkloru — pod dostatkiem. Na występy zjechały liczne zespoły amatorskie z woj. ostrołęckiego, łomżyńskiego; a nawet nowosądecki zespół „Dolina Dunajca", twórcy ludowi — wycinankarki i garncarze. Widowisko plenerowe, jak to onegdaj Kurpie miód z barci podbierali, wywodzące się ze starych obrzędów ludowych, prowadził znany gawędziarz, Stanisław Ceberek.

Inicjator, i jeden z organizatorów tej ciekawej imprezy Włodzimierz Parzychowski, dyrektor WDK w Ostrołęce powiedział: W trudnych dniach należy się ludziom choć trochę odetchnienia". A że takie odetchnienie jest nam teraz szczególnie potrzebne świadczyło mrowie ludzi wyległych z puszczańskich wsi, by uczestniczyć w barwnej imprezie na polanie w Zawodziu. (W następnym numerze — fotoreportaż z miodobrania).

TEGOROCZNE LATO — jesień w łomżyńskich lasach obficie darzy nas gąskami, koźlarzami, podgrzybkami. Większe ilości prawdziwków znajdują nie tylko wytrawni grzybiarze, lecz także autokarowi wycieczkowicze. Lato szczególnie obrodziło kaniami. Wyjątkowo dorodny okaz, o wadze ponad 1 kg, znalazł pan Jan Śmiarowski, mieszkaniec Łomży. Kania, którą prezentujemy na zdjęciu, o średnicy kapelusza 45 cm z trudem zmieściła się na patelni.

pytanie drażliwe (1)

Ciągłe odrywanie się partii od mas było jedyną z przyczyn obecnego kryzysu politycznego. Czy działacze partyjni wzięli sobie tę naukę do serca? Z tym pytaniem zwróciliśmy się do delegata na IX Zjazd Mieczysława Czerniawskiego I sekretarza KM PZPR w Łomży: — Po Zjeździe miałem spotkanie z pracownikami łomżyńskiej „Bawełny", było około 40 osób. W zambrowskiej „Bawełnie", do której dzisiaj również jadę, dyskutowało ze mną chyba 80 osób. Jeszcze POM w Czyżewie, w sierpniu byłem na urlopie, po powrocie WPHW... trudno mi tak z pamięci wymienić, mam to gdzieś zapisane. Spotkania są spontaniczne, żadnego scenariusza. Na początek stawiam sali problemy, które w dyskusji wspólnie rozwiązujemy. W niektórych sprawach jestem bardziej radykalny od ludzi.

pytanie drażliwe (2)

Dlaczego transport gruszek, które otrzymało województwo jako dar z Francji, nie trafił w całości do domów dziecka, domów opieki społecznej, szpitali... Kto zarobił na ich sprzedaży? Odpowiada Ignacy Pawlikowski, Prezes Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Łomży.

— Otrzymaliśmy 18 ton gruszek. Początkowo Wydział Zdrowia, który ma pieczę nad nadchodzącymi darami, wyraził chęć na 7 ton. Dopiero moje namowy spowodowały, że wzięli 16 ton. To co zostało w magazynie, zgodnie z decyzją władz Centrali Spółdzielczej, daliśmy na rynek biorąc po 40 złotych za kilogram. Żadna jednostka na tym nie zarobiła. Pieniądze ze sprzedaży w całości wpłyną na konto opieki społecznej.

Trzymamy za słowo.

ZDANIE TYGODNIA: „Jesteśmy Polakami i powinniśmy się dogadać, bo sytuacja w kraju niewesoła pod każdym względem. Siłą, to znaczy rozlewem krwi niczego nie zyskamy. Przegranym pozostaną cierpienia, jeśli nie coś więcej, wygranym — ciężkie, bratobójcze obrachunki z przeszłością, które nigdy ulgi nie przynoszą." (Witold Pieńkowski, pracownik działu zaopatrzenia PKS w Łomży).

MYŚL Z ATESTEM: „Striptiz władzy — gołosłowność", „Słownik wyrazów niecenzuralnych C: cenzura". (autor: NN).

punkt widzenia

Aktualne wydarzenia w kraju komentuje dla „Kontaktów" Waldemar Świrgoń, przewodniczący Zarządu Krajowego Związku Młodzieży Wiejskiej, zastępca członka KC PZPR:

— Najistotniejszą dla nas wszystkich sprawą jest opanowanie psychozy powstania, która, jeśli przenosi się ją na czas pokoju, jest niezwykle niebezpieczna, bowiem odwraca naszą uwagę od konkretnych działań zapobiegających kryzysowej sytuacji.

Obie strony: „Solidarność" i rząd nawołują do spokoju, tyle że nie z tych samych pozycji. Stefan Bratkowski, prezes SDP, mówił jeszcze w ubiegłym tygodniu, że najniebezpieczniejszą sprawą dla procesu odnowy jest istnienie sił ekstremalnych po obu stronach. Partia na IX Zjeździe dokonała tego samooczyszczenia, natomiast „Solidarność" — nie.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek linia porozumienia staje się linią podziału, która wyznacza taki a nie inny kierunek działań, sprowadzający się do pytań czy władzę trzeba kontrolować, czy władzę trzeba wymienić. Nie dopuszcza się do głosu myśli, że władza mogła się odmienić, chce się, i to coraz natarczywiej, wymiany tej władzy. Ci, którzy myślc, że jakakolwiek władza upadła bez walki — są w błędzie.

ZMW przeraża myśl, jak pozorna, demagogiczna jest dyskusja dotycząca spraw rolników. Powracają coraz śmielej opinie, że należy na przykład wprowadzić na powrót obowiązkowe dostawy produktów rolnych. Z uporem maniaka upowszechnia się hasła, które nie tylko że nie poprawią sytuacji zaopatrzenia w żywność, a mogą wywołać skuteczne protesty rolników.

To przecież wieś, jako jedyna grupa zawodowa otrzymuje zapłatę za to, co wypracuje, a nie za to, że jest obecna, że podpisuje listę, odbija kartę i spaceruje po zakładzie. To stara prawda, z dawien dawna obowiązująca na wsi: je nie ten kto jest głodny, ale ten kto na to jedzenie zapracował, jakoś nie chce trafić do świadomości załóg fabrycznych. A to właśnie u nich należy szukać rezerw produkcji rolnej, wpływu na produkcję żywności.

Szczególnie teraz istnieje niebezpieczeństwo rozerwania ogniw sojuszu robotniczo-chłopskiego. Stwarza się sytuację, w której usiłuje się część winy za kryzys przerzucić na wieś. Apeluje się do rolników o wywiązanie się z powinności wsi wobec miasta. Nie jest to najwłaściwszy kierunek działań. Wszyscy powinniśmy mieć tę świadomość, że jeśli priorytetowe zakłady nie będą bezpośrednio zainteresowane w tym, by pomóc rolnikom, to tej żywności będzie mniej. Jeszcze do tej pory rolnicy nie mogli realizować swoich wiosennych przydziałów węgla, bo składnice są zupełnie puste. Parniki do kartofli stoją bezczynnie, bo nie ma węgla. I jak tu w ogóle mówić o rozwoju bodowli.

Jeśli traktować na serio wszystkie oferty wyprowadzenia kraju z kryzysu żywnościowego, to górnicy powinni się poważnie zastanowić nad tym nie ile wolnych sobót powinni przepracować a ile niedziel, by na tegorocznym świątecznym górniczym stole pojawiło się jedzenie.

Mówi się, aż do znudzenia, że samymi deklaracjami nikt się jeszcze nie wyżywił. A tymczasem konkrety mają charakter okazjonalny, przyczynkarski, coraz trudniej wyłowić je z morza deklaracji.

w obronie króla

Kulturę władzy określa jej stopień odpowiedzialności przed społeczeństwem i zdolność podejmowania decyzji w porozumieniu ze społeczeństwem. Inaczej mówiąc, jej wiarygodność w opinii społecznej i jej demokratyzm w praktycznym działaniu. Jest to problem indentyfikacji celów i zadań socjalizmu z odczuciem społecznym. Zachwianie tej równowagi prowadzi do alienacji władzy — jak się okazało możliwej również w ustroju socjalistycznym — i do zaistnienia konfliktu między władzą i własnym narodem. Ten proces był źródłem wszystkich kryzysów w Polsce Ludowej.

W ciągu minionych dziesięciu lat nastąpiło jakby rozejście się dwóch zjawisk: wielkiego procesu rozwoju sił wytwórczych, który stworzył nowoczesną klasę robotniczą i nowe układy społeczne, i zjawiska alienacji władz państwowych, ich biurokratyzowania się, wyradzania się w system wyobcowanej z rzeczywistości centralizacji, narzucającej rozwiązania sprzeczne ze społeczno-ekonomicznymi potrzebami i prawami rozwoju, a także sprzeczne z nastrojami i odczuciem społecznym. Kulturę władzy zastąpiono całym systemem pozorowanych posunięć, mających ilustrować poparcie władzy przez społeczeństwo, a w rzeczywistości będących drwiną z realnie istniejącej świadomości społecznej. Kulturę władzy, jej tradycyjną równowagę między władzą ustawodawczą i wykonawczą zastąpiono samowolnymi decyzjami rządzącej kliki. W tych warunkach ani sejm nie był sejmem, ani rząd rządem, ani Komitet Centralny — Komitetem Centralnym, a nawet Biuro Polityczne nie było Biurem Politycznym. Zaniknął system kontroli państwowej i społecznej, zamarły naturalne ogniwa w rodzaju związków zawodowych i prasy.

Sprawujący władzę byli odpowiedzialni tylko przed sobą, to znaczy przed nikim. Kultura władzy przetworzyła się w nadużywanie władzy w coraz częstszym stopniu dla celów czysto osobistych. Nie trzeba dodawać, że nie miało to nic wspólnego o socjalizmem, przeciwnie — stało się zaprzeczeniem socjalizmu i początkiem rewolty klasy robotniczej przeciwko własnemu państwu.

bardzo wiele zaszłości, utrudniających wykształcenie struktur, które by zapewniły bezkolizyjne funkcjonowanie socjalistycznej demokracji, Aparat państwowy ciągle jest obarczony biurokratycznymi schorzeniami, nieumiejętnością do podejmowania jednostronnych decyzji, nieliczenia się z partnerem. Podobnie ruch związkowy nie pozbył się syndykalistycznych nawyków jednostronnego decydowania, zastępowania władzy, a nawte sięgania po nią. Dominującą cechą wzajemnych stosunków jest nieufność, pomawianie o przeważnie nieistniejące intencje, a chwilami nawet odrzucanie idei partnerstwa, które jest warunkiem nowoczesnego funkcjonowania władzy, jej kultury i jej zdolności do podejmowania właściwej decyzji. Stąd też wzajemna walka nadal przypomina grę w warcaby, w której zna się tylko najbliższe ruchy, a nie grę w szachy, w której decyduje długofalowa strategia, wyobraźnia i zdolność przewidywania. Stwarza to trudne warunki dla funkcjonowania władzy i utrwalania przesłanek powołania do życia nowoczesnego systemu zarządzania socjalistycznym państwem.

Ciągle otwartym pozostaje zagadnienie, jak sprawić, by konfliktów w rozwoju socjalizmu nie doprowadzać do stanu konfrontacji. Jest to podstawowa przesłanka problemu kultury władzy. Mówiliśmy już o zagadnieniu partnerstwa. Lecz ta sprawa bezpośrednio łączy się ze sprawą działania organów przedstawicielstwa, z ich protegowanymi, a także z mechanizmami zmiany politycznej, która w strukturze naszego życia politycznego ciągle jakby nie istniała, chociaż nie raz dała już o sobie znać i to w sposób bardzo gwałtowny. Czy tak być musi? Sądzę, że nie. Więcej, myślę, że to jest podstawowe zadanie kultury politycznej i w tym kierunku zrobiliśmy

go. Uniwersalizm wartości naukowych i literackich zakłada niezależność tych dziedzin. Niezależnie od ideowych znaków odniesienia literatura, nauka i sztuka muszą mieć dla swojego nieskrępowanego rozwoju szerokie pole wolności, prawo poszukiwania prawdy obiektywnej zgodnie ze swoją wyobraźnią i wiedzą, a także zgodnie z doświadczeniami nauki i sztuki światowej.

Niejednokrotnie już literatura i sztuka w Polsca korzystały z szerokich uprawnień wolności. Były to okresy największego rozwoju, czy to w latach 1945—48, czy to zaraz po 1955—56 roku, czy nawet bezpośrednio po 1970 roku. Każdorazowy nawrót do sztuki normatywnej cofał rozwój sztuki, hamował jej osiągnięcia, był jawną szkodą dla socjalizmu. Niestety nie potrafiliśmy dotąd uniknąć tych negatywnych nawrotów i problem kultury politycznej, więc także kultury władzy, polega na tym, by stworzyć takie zasady w polityce kulturalnej, by — nie rezygnując z problemu ideowości — zapewnić jednocześnie sztuce i nauce pełny margines dyskusji i wolności. Przodująca rola w partii w tym zakresie to zagadnienie inspiracji, ideowości, a nie administracyjnych zarządzeń; to świadoma rezygnacja ze sztuki normatywnej, tak w zakresie problemów etycznych, jak i estetycznych. Niezależnie bowiem od doraźnych stosunków między kulturą a polityką istnieją pewne, trudne do pogodzenia, różnice między tymi dziedzinami aktywności ludzkiej. Polityka w dużym stopniu dotyczy zagadnień aktualnej rzeczywistości, chodzi jej o przetrwanie na teraz i o punkty wyjścia na przyszłość, nauka i sztuka stara się natomiast rozwiązać wartości uniwersalne, do których ludzkość może powrócić, nawet wówczas, gdy obiektywna prawda ciągle nie jest jeszcze dla nas w pełni osiągalna. Jak się wyraził Stefan Bratkowski w dyskusji na temat kultury politycznej w „Miesięczniku Literackim": *„Trzeba uwzględnić i taką ewentualność, że w kulturze, w twórczości literackiej mają prawo funkcjonować nawet wariaci polityczni. Jeśli w danym kraju toczy się normalne życie polityczne, to w polityce będą oni czymś incydentalnym, będą folklorem literackim, a związek literatów nie będzie musiał pełnić funkcji zastępczej parlamentu".*

I jeszcze jedno zagadnienie, o którym często, również teraz, zapominamy. Kultura władzy, to kultura właściwego poziomu polemiki. Operowanie argumentami, a nie paszkwilami, wymysłami na klozetowym poziomie, przyczepianie etykietek, które nic nie mówią, lecz jątrzą i nie tylko obniżają poziom kultury umysłowej narodu, lecz niszczą ją, nikogo przy tym nie przekonując i nikomu nie przynosząc zaszczytu. Jest to także ciągle problem otwarty, dziwnie uparcie wracający na łamy naszej prasy. Pomijając to, że kłamstwami, wymysłami nikogo nie można przekonać — sprowadzenie argumentacji do pomówień stawia pod znakiem zapytania nie tylko całe nasze życie umysłowe, lecz kulturę władzy socjalizmu, która jest celem i sensem całej naszej obecnej dyskusji.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI
Fot. CAF

Oczywiście kultura władzy obowiązuje zarówno rządzących jak i rządzonych. Kultura władzy, jej demokratyzm zakłada wykonywanie praworządnie przyjętych decyzji, obustronne realizowanie zawartego porozumienia, obustronną odpowiedzialność za losy państwa i gospodarki narodowej. Wydarzenia ostatniego roku dowiodły, w jak wysokim stopniu te właściwości zostały wyrobione w świadomości polskiego świata pracy. Na tym dopiero gruncie mogła dojrzeć polityka porozumienia i zdolność rozwiązywania narosłych przeciwieństw na drodze wzajemnego zrozumienia i wzajemnych ustępstw. Mimo poszczególnych konfliktów, zaostrzeń i spięć, obie strony — władza i świat pracy — wykazały zdolność znajdowania rozwiązań i wyprowadzania kraju na gruncie negocjacji z najbardziej niebezpiecznych sytuacji. Trudno jednak nie zdawać sobie sprawy, że zarówno po stronie władzy, jak i klasy robotniczej, zorganizowanej w związkach zawodowych, istnieje poważny krok naprzód na IX Nadzwyczajnym Zjeździe Partii; więcej, że na tym właśnie Zjeździe wypracowaliśmy mechanizmy działania demokratycznego, włącznie ze sprawą wyboru pierwszego sekretarza. Pozostaje nam teraz rozstrzygnąć problem demokratycznej ordynacji wyborczej do sejmu i rad narodowych, nie naruszając zasady, że wybory i polski parlamentaryzm powinien utrwalać zasadę funkcjonawania socjalizmu, a więc nasz demokratyzm winien rozwijać się wewnątrz ustrojowego systemu.

Następna sprawa to problem masowych środków przekazu, które powinny nie tylko wyrażać poglądy władz i partii, lecz również krytyczne opinie społeczeństwa, a tym samym winny być czynnikiem równowagi między oficjalną propagandą, a opinią niezależną, poglądami związków zawodowych, a także katolickiej lub szerzej — religijnej części społeczeństwa. Z tym problemem wiąże się zagadnienie funkcjonowania życia umysłowo-literackiego.

kontakty kontaktów

W odpowiedzi na skargę mieszkańców dotyczącą budowy wodociągu w ulicach: Kwadratowa, Bacławskiego, Tońskiego i Piaskowej informuję, że przeciągnęła się ona tak bardzo z podanych niżej względów.

W roku 1976, kiedy to została sporządzona pierwsza dokumentacja, nie można było znaleźć wśród jednostek gospodarki uspołecznionej wykonawcy. Jak wiadomo obowiązujące wówczas przepisy finansowe nie pozwalały zlecić tej roboty wykonawcy prywatnemu. Sprawa ta ciągnęła się od roku 1978. W międzyczasie dezaktualizacji uległy wszystkie uzgodnienia, bowiem są one ważne lata. Po ponownym rozpatrzeniu sprawy wodociągu na posiedzeniu Zespołu Uzgadniania Dokumentacji okazało się że należy generalnie zmienić projekt — są potrzebne podkłady geodezyjne. Z chwilą otrzymania podkładów (jesień 1980 r.) natychmiast przystąpiliśmy do opracowania szczegółowego planu zagospodarowania osiedla Łomżyca. Po jego zatwierdzeniu — do opracowania projektu dróg oraz w następnej kolejności nowego projektu wodociągu. W dniu 3 września br. Zespół Uzgadniania Dokumentacji uzgodnił go pozytywnie i jest on w tej chwili gotowy do realizacji.

Na zebraniu w dniu 27 VIII 1981 r. przedstawiciel Urzędu Miejskiego poinformował zebranych mieszkańców, że sprawa rozpoczęcia budowy uzależniona jest w tej chwili wyłącznie od mieszkańców, którzy muszą dokonać wpłat na budowę. Urząd Miejski posiada w tej chwili wszystkie niezbędne materiały oraz umowę z wykonawcą tych robót. Budowy nie można rozpocząć, gdyż nie wpłacono jeszcze wymaganych 247 tysięcy złotych i — mimo zapewnień ze strony mieszkańców — tylko jedna osoba dokonała po zebraniu wpłaty. Wobec tego terminu rozpoczęcia prac znów zostanie przesunięty.

Mgr Jan Karol Cychol
Wiceprezydent miasta

OD REDAKCJI: Nie wiemy, jak zainteresowanych mieszkańców, ale nas tego rodzaju wyjaśnienia nie satysfakcjonują. Czy rzeczywiście nie można było zaplanować raz, a dobrze?

*

W związku z artykułem pt. „Szukaj się pan sam" z marca 1981 r. („Kontakty" nr 11/38) uprzejmie informuję, że w sprawie skargi Kazimierza Gronostajskiego przeprowadzone zostało postępowanie wyjaśniające w trybie prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa.

Ustalono, że Kazimierz Gronostajski, będąc zameldowanym na pobyt stały we wsi Gać (gm. Łomża), w rzeczywistości od 1976 r. zamieszkiwał w Zambrowie. Z tego też względu nie figurował w kartotece Urzędu Gminy w Łomży jako stały mieszkaniec.

Prokuratura Rejonowa w dniu 12 marca 1980 r. skierowała pismo do Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Łomży z wnioskiem o wyjaśnienie powyższych nieprawidłowości i powiadomienie o sposobie załatwienia powyższej sprawy.

Urząd Wojewódzki, po sprawdzeniu powyższych okoliczności, polecił Urzędowi Gminy w Łomży założenie karty osobowej Kazimierza Gronostajskiego i włączenie jej do działu stałych mieszkańców gminy Łomża.

W dniu 30 czerwca 1977 r. ojciec Kazimierza Gronostajskiego sprzedał Bankowi Spółdzielczemu w Łomży budynek mieszkalny i gospodarczy oraz działkę. Ponadto zawarł z Bankiem umowę o najem dwóch pomieszczeń w budynku mieszkalnym. Zgodnie z zawartą umową może tam mieszkać tylko sam. Ponieważ nie podał, że wraz z nim zameldowany jest jego syn Kazimierz, Bank Spółdzielczy w Łomży zawarł umowę sprzedaży i najmu w dobrej wierze.

Kazimierza Gronostajskiego powiadomiono, że może dochodzić swoich roszczeń, kierując do Sądu Rejonowego w Łomży powództwo o zwrot pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży domu przez jego ojca, a także o tym,

CIĄG DALSZY NA STR. 11

Nie dajmy się biedzie pod prąd pod wiatr

W cyklu: „Nie dajmy się biedzie" prezentujemy — jedyne w łomżyńskiem i jedno z osiemdziesięciu czterech w kraju — Kółko Rolnicze w Czarkówce Małej w gminie Perlejewo, ocalałe po różnych reorganizacjach i nadal prowadzące samodzielną działalność gospodarczą. Stanowi ono dobry przykład na zaradność w sytuacjach ciężkich, skomplikowanych, zdawać by się mogło, już bez żadnego, sensownego wyjścia.

Gdy w SKR w Ciechanowcu (a podobnie jest i w innych) rolnik musi czekać na usługę dwa-trzy tygodnie, to w czarkowskim kółku nie przekracza to czterdziestu ośmiu godzin. W jaki sposób w nim gospodarzą, że ciągniki jak u chłopa chodzą po 10—12 lat; jak to się stało, że Kółko Rolnicze w Czarkówce Małej uchroniło się przed skutkami „eskaerowskiej" polityki rolnej? Dobrze się skryło za czyimiś plecami, czy zawsze otwarcie stawiało czoła wszelkim zakusom administracji?

Udaję się do tej dziwnej wsi — nie bez obawy, że zostałem wpuszczony w maliny. Jadwiga Jagiełło, kierownik Kółka, śmieje się z moich obaw: — Nadal jesteśmy samodzielni. Nasza wioska nigdy nie chowała głowy w piasek. Od Perlejewa odgranicza nas pagórek, lecz i on nie uchronił Czarkówki od najazdów różnych urzędników z powiatu, gminy i województwa. Co tydzień mieliśmy kogoś na karku. Wszyscy dęli w jedną tubę: „Przyłączcie się do SKR-u w Ciechanowcu, to będziecie mieli wszystko: dobrych mechaników, sprawne maszyny, usługę na każde zamówienie."

Ja baba, ale też wyczuwałam, że coś nad nami niedobrego zawisło. Mąż był w szpitalu, gdy jeden z tych „kusicieli" począł po wsi chodzić i podpisy zbierać, rzekomo chętnych na zebranie. Paru mu podpisało, ale ktoś (nie pamiętam kto) zainteresował się sporządzoną przez niego „listą obecności". Na drugiej stronie kartki był już protokół z naszego zebrania, że cała wieś zgadza się na włączenie kółka do SKR-u w Ciechanowcu. Jak wtedy chłopy dali mu popalić, to on nie wiedział dokąd uciekać.

Następnym razem wstydził się przyjechać, to wysłali innego. Ten znów groził nam: „Nie włączycie swego kółka do SKR-u to nic nie dostaniecie. Skona śmiercią naturalną, a wy i tak przyjdziecie do nas w łaskę". Zarząd na posiedzeniu zbierał się nie raz i radził nad tym, co począć w takiej trudnej sytuacji. Mieliśmy już kilka swoich ciągników. Na pierwszą maszynę — agregat omłotowy — złożyliśmy się po 1200 złotych. Na ciągnik nie było jeszcze w kółku tyle pieniędzy. Kierownik kasy w Ciechanowcu powiedział nam: „Możecie dostać kredyt na świnie". Więc my wszyscy skorzystaliśmy z tej oferty. Jeszcze jeden drugiemu poręczył na dwa—trzy tysiące i całą sumę przeznaczyliśmy na traktor.

Sąsiedzi z innych wsi powiadali nam: „Ściągnięta na swoje gospodarstwa PGR jak nic. Najpierw dadzą wam sprzęt, a potem przeorzo nim wasze miedze i wszystko będzieta mieli wspólne: kocioł na zupę, żony i dzieci". Śmieliśmy się z ich pogróżek, bo maszyna potrzebna jest w każdym gospodarstwie. Bogaty rolnik może ją sobie kupić sam, a my, średniacy, mający po osiem — dziesięć hektarów, mielibyśmy duże kłopoty. Chwyciliśmy się kółka jako jedynej szansy zmechanizowania naszych gospodarstw.

Jeszcze nie zdążyliśmy się nacieszyć jego pierwszymi osiągnięciami, a już nas chcieli likwidować. Mąż mój, prezes zarządu, powiedział na zebraniu: „Chłopy. Za wszelką cenę musimy ocalić nasze Kółko, bo w dużej gminie prawda ginie". Pojechała delegacja do Perlejewa, do Ciechanowca, do Siemiatycz. Nie chcieli nawet słyszeć. Najpierw krzykiem, później prośbami, obietnicami, w końcu kawką, herbatką przemawiali do naszych: „Panowie zgódźcie się, Taka jest teraz polityka. My nie damy wam zrobić krzywdy. W waszej wsi utworzymy Międzykółkową Bazę Maszynową. Będziecie mieć trzy—cztery razy więcej maszyn niż obecnie".

Byli już tacy, którzy zaczęli się chwiać, to wtedy mój mąż, Jagiełło i sołtys, Jan Czarkowski przekazali im: „Jak nam cholery stchórzycie, to nie macie się co we wsi pokazywać. Nogi wam z tyłka powyrywamy, aby się ze strachu nie gięły, albo te dzyndzle poucinamy razem z futerkiem". Pomogło.

Państwo Jagiełłowie mieszkają w starym, drewnianym domku przykrytym zamszoną, słomianą strzechą. Drzwi zamykane na skobel. Na podwórku poczyniony na zimę duży zapas suchego drewna. W głębi stodółka, obórka. Vis á vis, ogrodzony sztachetkami jak chłopska zagroda, kółkowy plac z maszynami. W sumie sześć, może siedem arów. Od drogi zawieszona na drzewie stara, zardzewiała tablica z napisem trudnym już dziś do odczytania: „Kółko Rolnicze w Czarkówce Małej". Z drugiej strony zamykana na kłódkę, również ze sztachet zrobiona, brama. Plac nierówny, tu i ówdzie kałuże zebrane po ostatnim deszczu. Przy płocie porozrzucane, jakby w pośpiechu, części maszyn.

Jeden z traktorzystów próbuje usprawiedliwić ten bałagan i zwrócić uwagę na bardziej chwytliwe, wspólne przedsięwzięcie wszystkich członków kółka: — Ten plac został zagospodarowany społecznie. Jedni przeznaczyli ziemię, drudzy — drzewo ze swojego lasu, pozostali przyszli do pracy z piłami i siekierami. Zamiar ten, podobnie jak inne, podjęli wspólnie na zebraniu. Właśnie Czarkówka Mała tym różni się od sąsiednich wsi, że gdy jej mieszkańcy coś postanowią, to muszą zrobić z nawiązką. W pracy są zgodni, życzliwi. Na zebraniu kłócą się, sprzeczają.

Ostatnio mieli kupić rozrzutnik do obornika. Radzili nad tym kilka godzin. Młodzi chcieli. Starsi sprzeciwiali się, argumentując, że ta maszyna nie nadaje się do ich tradycyjnych, głębokich obór. Ale w końcu ustąpili młodym. Lecz niech tylko ktoś przeskrobie w pracy. Przesłuchają go sto razy dokładniej niż ksiądz na spowiedzi. Wtedy nie ma tłumaczenia. Winowajcę może tylko uratować głęboka skrucha i prośba o łagodną karę: wyrzucenie z pracy lub pominięcie w korzystaniu z usług.

Kółko przeżywa te same kłopoty co każdy eskaer, ale jakoś sobie radzi. W porę przychodzi pomysł na wyjście z ciężkiej sytuacji. Potrzebne były opony do przyczepy, to stare dali do bieżnikowania. Po jedenaście osiemset płacili za każdą, czyli trzykrotnie drożej niż za nową, lecz przyczepy nie stoją bezczynnie.

Przez kilka lat szereg błyskawicznych decyzji podejmował Stanisław Moczulski, kierownik kółka. Rok temu złożył rezygnację. Czarkówka Duża wybrała go na sołtysa. Powiada: — Dla idei mógłbym dalej pracować w kółku. Moja pensja wynosiła 900 złotych, później 1100, a ostatnio - 1600. Odszedłem, bo w SKR-rze w Ciechanowcu mam ponad pięć tysięcy jako traktorzysta. Nie mogę jednak mówić o nich źle. Są oszczędni. Szanują się jak bracia, a liczą, zwłaszcza społeczne, kółkowe pieniądze, jeszcze dokładniej niż Żydzi. Jeśli można mówić o uchronieniu Czarkówki przed SKR-em, to chyba dzięki tej uczciwości. Kiedy trzeba — nagradzają, przeskrobiesz — karzą. Jeden z prezesów narobił manka na 50 tysięcy złotych. Nie chciał oddać, próbował wykręcić się sianem. Do sądu go podali i udowodnili nadużycie. Wcale na to nie patrzyli, że to ich sąsiad.

Czy wszyscy zadowoleni są z kółkowych usług? Rozmówca chwilę zastanawia się, spogląda na duży, murowany dom, na ustawione na wozie, tylko co przywiezione z pola, worki z ziemniakami: — Zdarza się, że jest na przykład orka, a tu ktoś wyrywa się z zamówieniem na godzinkę talerzówki. Szkoda czasu na odczepianie pługów od ciągnika. Musi poczekać dzień albo dwa.

W czarkowskim kółku nic się nie utrzyma w tajemnicy. O każdym przewinieniu jednostki mówi cała wieś, okolica. Lgnie do człowieka zła opinia. Jeden z gospodarzy fundował traktorzystom wódkę za wykonywane usługi. Przez rok kółko nie obrabiało jego pola. Odwoływał się do różnych władz, nawet do Warszawy. Musiał zwrócić się z prośbą do SKR-u w Ciechanowcu. Po upływie kary sam do prezesa zarządu przyszedł, przyznał rację i o przebaczenie prosił. Innym znów razem kobieta przyniosła przedpłatę, to w pierwszej kolejności potrącili jej za zadłużenie. Pisała skargę nawet do Rady Państwa. Ściągnęła kilka kontroli. Działo się to już kilka lat temu, a w Czarkówce tak o tym świeżo pamiętają, jakby to było wczoraj.

Paweł Stańczuk, członek zarządu od początku istnienia kółka, jak diabeł święconej wody bał się funkcji skarbnika. Wszyscy wsiedli na niego i zgodził się. Dziś ma za sobą już długą praktykę. Powiada: — W ciągu 28 lat nie zrobiłem nawet złotówki manka.

Kółko zawsze jest na plusie — wtrąca jego żona — bo inaczej to już dawno połknąłby nas SKR. Każdą maszynę musieliśmy kupić za swoje pieniądze. Przez kilka lat nie dostaliśmy nic. POM-y w Siemiatyczach i w Czyżewie odmawiały remontu naszych maszyn. Teraz naprawiają, lecz kantują, jak tylko się da. Więc ciągamy stare maszyny z „domu do POM-u i zaraz z POM-u do domu". Drobne usterki usuwamy sami, przy pomocy naszego starego fachmana — kowala, który bardzo często jest dla kółka ostatnią deską ratunku. Niektóre części udaje mu się dorobić ze starego żelastwa. Musi nad tym pogłówkować, lecz i pieniądz ma większy niż za podkucie konia.

Młoda księgowa, zatrudniona na pół etatu, Zofia Czarkowska stwierdza: — Nasze kółko to nie biuro. Mam robotę, to wykonuję ją w dzień i w nocy. Nie ma, to siedzę w domu i opiekuję się dzieckiem. Zarząd to przecież swoi ludzie. Dziwię się, skąd mają tyle wiedzy, bo przecież nie pokończyli więcej niż trzech—czterech klas szkoły powszechnej. Sołtys ma powyżej 70 lat. Józef Jagiełło też coś koło tego. A jednak rządzą, decydują i w działaniu są chyba bardziej energiczni niż młodzież Czarkówki.

Z udostępnionych mi protokołów wyłapuję ciekawsze epizody z życia kółka w latach ubiegłych. Chłopskie, proste pismo, bez urzędowych formuł. Kartki pożółkłe, lecz wszystkie dokładnie ułożone kolejnymi latami: *„Brak 2 300 kg ropy w roku 1973. Maszyna w Pieczyskach stała całą zimę. W tym roku stoi maszyna agregat w Jaszczułkach bez zgody i wiedzy całego zarządu. Prezes Zdzichowski nie pilnował w ogóle porządku nad traktorzystami, którzy w czasie pracy tracili czas na picie w sklepie. Stańkiewicz Henryk potwierdza bardzo słabą obsługę i dyscyplinę. Jagiełło Józef podaje do wiadomości, że za często były klepane lemiesze, co 5 godzin pracy. Jan Czarkowski stwierdza brak kolejności w książce zamówień. Prezes Zdzichowski robił betoniarkę na własną potrzebę nie opłacał do kółka. Nowak Władysław stwierdza, że rolnicy dawali chabory i sami rozpijali traktorzystów. Jan Czarkowski pochwala traktorzystę Moczulskiego Stanisława za koszenie pszenicy. Zdzichowski obrzuca wyzwiskami. Podpisali: Jagiełło Józef, prezes, Czarkowski Antoni, sekretarz, Czarkowski Stanisław, członek zarządu"* (Protokół z zebrania sprawozdawczo-wyborczego odbytego w dniu 21.II.1974 r.).

Po upływie roku *„zarząd zwraca uwagę kierownikowi na konserwację narzędzi na okres zimy, jak: wiązałki, sadzarki i inne"*, zaś 4.09.1977 roku *„Zarząd kółka z kierownikiem przeanalizował rachunki wystawione przez zakład kowalski za usługi świadczone w wysokości 4 tysięcy złotych. Zarząd zatwierdził sumę 3 550 złotych"*.

Zaskakuje solidność dokonywanej analizy. Czterysta pięćdziesiąt złotych, to przecież, jak na wielotysięczne dochody kółka, kwota niewielka, lecz musiała być pokryta z własnej kieszeni przez tego pracownika, który wystawił wyższy rachunek lub po prostu, niewypłaconą kowalowi. Domyślam się, że przedmiotem kontroli były nie tylko same kwity, lecz także wykonane naprawy.

20.11.1978 roku Zarząd potwierdził przyznaną premię traktorzyście Ob. Andrzejowi Jaszczołtowi w wysokości 4 tysięcy złotych". W sprawozdaniu za rok 1979 *„komisja apeluje do rolników, aby nie częstowali traktorzystów alkoholem za wykonywaną pracę i w czasie godzin pracy"*. W innym protokóle odnotowano przyznanie nagród dwunastu pracownikom kółka: traktorzystom i członkom zarządu. Po trzy—cztery tysiące każda.

Księgowa Zofia Czarkowska podpowiada mi: — W dokumentach odnotowana jest każda kółkowa złotówka: skąd wpłynęła i na co została przeznaczona. Kiedyś w SKR-rze próbowałam doszukać się kilku sprawozdań z ubiegłego roku. Pomimo, że mają kasy pancerne i etatowych pracowników, nikt nie był w stanie mi powiedzieć, gdzie się one znajdują. Dyrektor twierdził, że u księgowej. Księgowa była „pewna że są u dyrektora". A tu w swoich mieszkaniach przechowywane są tak zwyczajnie, jak rodzinne zdjęcia, pamiątki...

W Perlejewie powstał gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych, SKR. Kółkowy sprzęt bardzo by im się przydał. Były sołtys wsi Jan Czarkowski, uczestnik walk od Lenino do Berlina zastanawia się czy nie wyciągnie po niego łap po ich kółko przy najbliższej okazji?

Józef Jagiełło, łącznik AK w latach okupacji, ma więcej optymizmu, chociaż do młodych kryje się w nim sporo pretensji. Zgodził się wejść do zarządu, bo funkcja, jakiej się podjął, miała mieć charakter reprezentacyjny. Dał się nabrać, bo teraz wszystko ma na swojej głowie. Ostatnio udało mu się załatwić zęby do kultywatorów, taśmy gumowe do kopaczki lewatorowej. Różnie zdobywa części. Szuka w magazynach, składnicach, a także na złomowiskach. Powiada: — Wierzę, że młodzi czarkowscy gospodarze również potrafią obronić kółko w ciężkich czasach. Zawsze im to powtarzam, że człowiek musi iść pod prąd, pod wiatr, bo taka na ziemi jest jego powinność. Z podmuchem lecą tylko śmiecie.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

Śmieć story

Śmietnik przy ulicy Żeromskiego nie wyróżniał się niczym szczególnym. Mimo to cieszył się niezwykłym powodzeniem. Upodobali go sobie, z konieczności zresztą, mieszkańcy aż jedenastu budynków. Poprzedniej jesieni pojawił się w pobliżu jeden nieśmiały konkurent. Był jednak tak niewydarzony, że zanim wyrósł do normatywnych rozmiarów jakoś się rozlazł, rozkraczył. Zmieniło się więc jego przeznaczenie. Przez kilka miesięcy pełnił funkcję wcale udatnego i oryginalnego Pomnika Pracy Budowlańca. Z nieznanych bliżej powodów przerobiono go potem na piaszczystą wydmę.

Jedni interpretowali to jako okazję do nazwy osiedla — Jantar, a więc: morze, wydmy, mewy, szumy morskie itd. Inni uważali, że w ten sposób utrwala się dawną nazwę miejsca — Górka Zawadzka. Kontrowersji było więcej, ale wszyscy musieli się zgodzić, że krajobraz to urozmaica i staremu śmietnikowi nie odbiera klienteli. Szczęśliwe trwanie tego ostatniego skończyło się pewnego sierpniowego ranka. Coś mu przetrąciło jego żółty daszek, nadszczerbiło gładką płaszczyznę cegły.

Fakt ten spowodował zrozumiałe poruszenie w całej okolicy. Zaczęło się społeczne dochodzenie. Znaleziono naocznego świadka wydarzenia. Kobieta widziała z okna, jak ciężarówka w niezręcznym manewrze zahaczyła o zadaszenie. Kierowca najpierw usiłował szkodę naprawić, szukał bezskutecznie pomocy, a potem zbiegł z miejsca wypadku.

Śmietnik był własnością wszystkich. Nagle stał się niczyj. Stał bezradny, zdruzgotany, a odpadki coraz gęściej ścieliły się wokół. Nocą pojawiały się tam szczury, a w dzień — dzieci. Maluchom wyraźnie przypadł do gustu ten przypadkowy plac zabaw. Mocno, choć nieświadomie zamanifestowały niewyartykułowaną nigdy przedtem potrzebę placu gier i zabaw. O ile dzieci można trochę rozpieszczać, szczurów nie należy zbyt pochopnie protegować. Natomiast „Eksploatację" należy eksploatować, gdy tylko się da.

— Chodzi pani o śmietnik na Żeromskiego? Tak, stało się. Na szczęście kobieta jednego gospodarza widziała i podała kierowcę do sprawozdania do spółdzielni. To samochód z ŁPB trzepnął, ale już kierowca został zobowiązany do naprawienia na własny koszt.

— No proszę — pomyślałam — jaka śmiała i natychmiastowa decyzja. Ciekawe tylko, kiedy ten kierowca zabierze się do odbudowy. Najlepiej „nacisnąć" na jego zwierzchnika:

— Halo! Baza transportowa ŁPB? (następuje 48 sekund wyjaśnienia — kogo poszukuję i w jakim celu).

— Pierwsze od pani słyszymy. Proszę podać nazwisko kierowcy lub numer rejestracyjny. Wtedy zadziałamy.

W eksploatacji wiedzą jednak tylko, że wszystko wie Spółdzielnia. Tam okazuje się, że najbardziej wprowadzony w sprawę jest pan Piechowicz. Będzie wprawdzie dopiero jutro, ale pocieszono mnie, że wczoraj zebrała się komisja i ustalono, że szkodę spowodowała jednostka „Transbudu", wykonująca pracę na rzecz ŁPB.

Wyczekiwałam następnego dnia z zaciekawioną niecierpliwością. Tymczasem jeden gość nie wytrzymał. Nerwowo wspiął się na dach Żeromskiego 3 i gwałtownie po nim biegł. Był w krótkim rękawku, więc chyba mimo wszystko było mu chłodno i dla rozgrzewki rozwalił cztery kominy wentylacyjne, czepiał się anten aż do uszkodzenia. W końcu kilku robotników poszło go odwiedzić Poczęstowali papieroskiem. Wkrótce też zjawiła się milicja. Buntownik pozwolił się odwieźć do Choroszczy.

Incydent na krótko tylko odwrócił zainteresowanie mieszkańców śmietnikiem. Pan Piechowicz, choć zmęczony sytuacją, zarysował problem najpierw ogólnie: na planach śmietniki mają, ale mówią, że się nie wyrabiają i zmuszają nas, Spółdzielnię do robienia przez ZRB. Jak sami już czasem jakieś postawią, to bez dojazdu, a ZOM robi łaskę, jak przyjeżdża. A potem szczegółowo: jeden z trzech samochodów Transbudu, wożący piasek, zawadził i rozwalił, kobieta nie zapisała numeru, ale rozpoznała po kolorze. Tylko że oni się wypierają. Powołałem komisję. ŁPB tego robić nie chce, Transbud też się uparł, to chyba my będziemy musieli to zrobić. Oni nawet odmówili podpisania, że zapłacą. Piszę więc podanie do PZU. Nie, śmietnik nie był ubezpieczony, tylko samochód, więc PZU powinno wypłacić. Jeśli jutro rano uda mi się ściągnąć Komisję PZU, to chyba postawmy. No i zaraz trzeba będzie kombinować dźwig i przenieść to zadaszenie.

Po dwóch tygodniach nieprzerwanych działań na śmietniku pojawiła się ekipa fachowców. (Na zdjęciu przełomowy moment: ekipa pracuje nad usunięciem zadaszenia, które uniemożliwiało ZOM-owi opróżnianie pojemników). Zaraz potem zaczęło topnieć obmurowanie. A śmieci było coraz więcej. ZOM opróżniał tylko pojemniki, bo śmieć luzem nie wchodzi do zautomatyzowanych pojemników, a ładowanie łopatą do pojemników nie wchodzi w zakres obowiązków pracownika.

Spółdzielnia rozpoczęła zatem starania o wypożyczenie jakiegoś ciągnika, żeby zebrać mocno cuchnące dwanaście metrów zgnojonego śmiecia własnymi siłami. Akcja wykopkowa — żadnych wolnych ciągników. W końcu szef ZOM-u dał się uprosić i gdy tylko jego jedyny ciągnik miał trochę luzu skierował go na Żeromskiego. 9 września plac został oczyszczony. Pozostał jednak lekki smród. Pesymiści mówią, że wróży to komplikacje przy odbudowie i że dobrze by było od zaraz zacząć starania, aby nadać priorytet tej inwestycji.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

budowlani w żółwim zaprzęgu

W Kołakach Kościelnych nowy budynek ośrodka zdrowia rośnie po staremu, może ciut wolniej niż ślimak wystawia rogi. W lipcu br. upłynął jedenasty termin oddania go do użytku. Ten stary jest mały, niewygodny — korytarzyki półtora metra na dwa, gabinety lekarskie trochę większe, ale już pielęgniarki nie mają żadnego pomieszczenia, brakuje też poczekalni dla pacjentów. W przeznaczonej na ten cel kajutce z trudem mieszczą się trzy — cztery osoby.

Lokalizację nowego obiektu zaplanowano tuż obok starego. W Kołakach nie ma ładniejszego miejsca. Blisko sosnowy las, dookoła naturalna murawa. Dawniej była tu piękna łąka, dziś trawa pnie się po rozpadających się murach budowli. Otacza żwir, skawalony cement.

Mieszkańcy gminy Kołaki i ich władze są bezsilne. Naczelnik Urzędu powiada: — Czego ode mnie zażądali, załatwiłem. Nie mogą narzekać ani na brak materiałów, ani pomocy z naszej strony. Wszystkim zależy na tym, by ten ośrodek zaczął funkcjonować jak najwcześniej. Dyrektor ZOZ-u w Zambrowie ustala kolejny termin, zaś za niedotrzymanie poprzedniego zwalnia kierownika grupy roboczej. I tak sprawa toczy się po staremu. Omawialiśmy ją i na egzekutywie naszej organizacji partyjnej, na sesji Gminnej Rady Narodowej. Dyrektor Jurski tłumaczył się, wyjaśniał, a na budowie i tak nic się nie zmieniło.

Sekretarz Komitetu Gminnego PZPR wiele razy zachęcał ludzi do czynu społecznego. To podnosili fundament, bo woda go zalewała, to wozili przyczepami piach i zasypywali piwnice. Syzyfowa praca. Ostatnio ludzie ci podnieśli bunt i odmówili płacenia składek na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia.

Matka jednej z pielęgniarek, Eugenia Jaworowska spogląda przez okno. — Całą zimę nikogo tu nie było — powiada. Na wiosnę trochę podłubali i znów mieli kilkutygodniową przerwę. Niepozamykane okna, drzwi. Wiatr już prawie wszystkie szyby powybijał. Ze wsi majster za rok by to postawił. A oni przyjdą, popatrzą, posiedzą w budzie, najwyżej wychleją coś i pojadą.

Halina Rzepkowska, od 15 lat lekarz w Kołakach, podejmuje się oprowadzić mnie po tej żółwiej budowli: — Wznoszą ten ośrodek już piąty rok. Nadal wszystko w stanie surowym i chyba raz na zawsze utknęło w martwym punkcie. Nie wiem, czy jest jaka kara na tych ludzi. Ja, jeśli pomylę się w jednej decyzji, to może mnie ona kosztować kilka lat więzienia. Jeśli nie przyszłabym do pracy, byłaby tragedia, a ci murarze tak się ślimaczą, tak lekceważą wszystkich — swoich przełożonych, nas, personel ośrodka zdrowia pracujący w idealnej ciasnocie, władze gminne, a nade wszystko — pacjentów, bo to przecież o ich zdrowie chodzi.

Nie wiem, kto projektował ten ośrodek, ale życzyłbym tej fachowej osobie za karę zamieszkać w nim przynajmniej przez kilka lat. Wiadomo przecież, że na taką wioskę można tylko mieszkaniem przyciągnąć lekarza. Dlatego też wojewódzkie władze służby zdrowia robią wszystko, by móc zaproponować im minimalny życiowy standard

Nowy ośrodek zdrowia miał rozwiązać i ten problem. Projektanci pomyśleli o mieszkaniach dla personelu, ale to, na co się zdobyli, uwłacza ich kwalifikacjom. Kuchnia, dosłownie dwa na dwa. Łazienka — brodzik. Nawet najmniejsza wanna do niej nie wejdzie, nie mówiąc o innym wyposażeniu. O czym myśleli kreśląc te pomieszczenia — chyba o kiszkach, bo ponoć o czym architekt myśli, to mu na kalce technicznej wychodzi. Halina Rzepkowska za głowę się chwyta i powtarza któryś raz: — Co ja tu postawię? Ani pralki, ani lodówki. Wszystko przyjdzie chyba na korytarzu trzymać, albo w pokoju, ale te też nie są zbyt duże. Zastrzeżenia budzi plan ogólny ośrodka. Tylko 2—3 pomieszczenia przeznaczone są na gabinet stomatologiczny, lekarski, pokoje dla pielęgniarek, poczekalnię. Zaś prawie połowa budynku zaplanowana jest na aptekę, jakby miała tu być wojewódzka hurtownia leków.

Wychodzimy na zewnątrz. Rynny porozkręcane, już zaczynają rdzewieć, po ziemi walają się okna, drzwi Wszędzie stosy szkła. I pomyśleć, że za ten bałagan, bezmyślność, lenistwo — bez najmniejszego, nawet dziecięcego, poczucia obowiązkowości — cała grupa budowlana przez pięć lat, miesiąc w miesiąc śmie pobierać państwowe pieniądze. Zaczepiona na drodze kobieta wybucha śmiechem na te moje moralne dywagacje: — Panie, oni jeszcze na tym zarabiają. Jesienią tylko zobaczą, czy czasami ktoś z urzędu nie zawitał i najmują się do chłopów, do ładowania ziemniaków. Po 400—500 za osiem godzin biorą. A pensja leci im swoją drogą.

Chłopi na targu podzielają te opinie. Mówią: — My takich majstrów byśmy na zbity pysk wyrzucili. Tylko wstyd Kołakom przynoszą. Ksiądz w tym czasie kościół wyremontował, urządził plebanię i tylko dwóch czy trzech ludzi u niego robiło. A tu cała brygada darmozjadów.

Dyrektor ZOZ-u, Jurski, kiedyś bardzo obraził się, że podaliśmy w „Spięciach" informację, iż w Kołakach jeszcze fundamentów ośrodka zdrowia nie widać. Wtedy była to przesadna ironia, ale niedługo stanie się ona prawdą, bowiem przy takim tempie prac, powiązane przeważnie piaskiem i żwirem mury (cement poszedł na lewo) rzeczywiście się rozsypie, a dyrektor ZOZ-u zwolni następnego kierownika budowy. A może za takie partactwo ośmieli się skarcić całą brygadę? Można jednak w to wątpić, bo wszędzie chwali się, że ma przy szpitalu swoją ekipę remontowo-budowlana. Chyba rzeczywiście „swoją" bo inaczej tak długo za nic by jej nie utrzymywał.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

interwencje

klika u władzy

W Czerwcu i lipcu zaczęły się dziać w Andrzejewie dziwne rzeczy. Wieczorem pod drzwiami sekretarza gromadzi się kilka staruszek. — Nie chcemy przez was umierać — rzucają mu w twarz, gdy wychodzi sprawdzić, co się dzieje. W kilka dni później atakują go stojące w kolejce do lekarza matki z dziećmi. Gdy się ściemnia odzywają się niewybredne telefony. Kulminacja „uświadamiania" następuje pewnego ranka, gdy od klamki odczepić musi ludzką czaszkę.

— Czego ten Kaczanowicz jeszcze chce — rozluźnia się naczelnik, Tadeusz Koc, po wspólnym kieliszku „za pomyślność". — Odszedł, nic na tym nie stracił. Nikt nie ma do niego pretensji, więc czego mąci?

— To przeszłość — spokojnie dorzuca Stefan Kiner, u którego przypadek styka mnie z gospodarzem gminy. — Było i nie ma sprawy.

Ludzie w Gostkowie cenią Stefana Kinera. Od lat uczy ich dzieci, zawsze mówi, to co myśli. — Jeśli coś wie, nie kręci, że o niczym nie słyszał.

Rozumiem jednak, iż moje pytanie: „Czy przed plenum, na którym dokonać miano wyboru następcy Kaczanowicza był u pana naczelnik Koc ze »swoim« kandydatem i sugerował, kogo należy skreślać?" — nie należy do łatwych. Notuję w pamięci takie słowa: — Naczelnik bywa u mnie często. Wpada na szachy; czymś trzeba się zająć, bo inaczej człowiek mógłby tu zwariować. A z Kaczanowiczem sprawa jasna. Zajmował mieszkanie w ośrodku zdrowia. Powinien tam mieszkać lekarz.

— To jest sprawa ad acta — wita mnie podobnie przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej, Mirosław Szalunas. — A właściwie żadnej sprawy nie było. „Solidarność" podniosła problem mieszkania i Kaczanowicz musiał je opuścić. — Nie trzeba jątrzyć — dodaje pojednawczo, widząc moje zaskoczenie odpowiedzią na pytanie: „Dlaczego i po co WKKP jeździła do Andrzejewa?" — Pojechaliśmy na przejażdżkę, i naprawdę nie ma tam czego szukać. Badaliśmy tylko sytuację na plenum. Z informacji Janusza Miariaka z KW i Marka Kaczanowicza w y g l ą d a ł o, że coś działo się na nim n i e t a k. Rozmowy, które przeprowadziliśmy, nie potwierdziły t e g o.

Nie przebiję podobnego toku dialogu ani podczas tej, ani następnej wizyty. Nie otrzymam też wglądu do pokontrolnych materiałów. Ba, przewodniczący powie najpierw, iż komisja nie sporządziła żadnej dokumentacji w tej sprawie, nie zbierała pisemnych oświadczeń. Gdy zapytam jednak — znając już trochę realia andrzejewskiej rzeczywistości — jakie było stanowisko kierownika Terenowego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego, Władysława Nowackiego, sięgnie po ukrytą w biurku teczkę. I streści: — Nowacki coś tam mówił, że niech spojrzą mu w oczy ci, u których nie był przed plenum naczelnik. To wszystko.

Podobnie przebiegnie trzecie spotkanie, mimo wcześniejszych obietnic udostępnienia oświadczeń. Z tą różnicą, iż cztery z nich rzeczywiście znajdą się przed moimi oczami: naczelnika Tadeusza Koca, członka egzekutywy, przeciwko któremu wysunięto zarzut manipulowania wyborami; Dyrektora Zbiorczej Szkoły Gminnej, Edwarda Wardaszki; rolnika z Kuleszek, Henryka Godlewskiego; dyrektora SKR w Andrzejewie, Mariana Czajki.

Edward Wardaszka, po dość szczegółowym omówieniu przebiegu plenum, pisze: *„Uczestniczą przez tyle lat w posiedzeniach Egzekutywy czy Plenum nie wystąpił taki rygor ton głosu jak to miał miejsce w ostatnim Plenum"*. I dodaje: *„W czasie trwania posiedzenia Plenarnego nie zauważyłem, aby ktoś kogoś agitował na skreślenie kandydatury"* (Krystyny Leszczyńskiej — przyp. W.T.). To, że w czasie wyborów nie było żadnych nacisków potwierdza również Henryk Godlewski. Uważa ponadto, iż „obie kandydatury są niewłaściwe". Tadeusz Koc oświadczył: *„Tow. Kaczanowicz i Tow. J. Mariak nie pozwolili zgłosić innej kandydatury namawiając na głosowanie na jedną kandydaturę z tym, że powody podać więcej kandydatów gdyby ta nie uzyskała zgody. Po przeprowadzeniu głosowania następnego głosowania nie pozwolono przeprowadzić"*.

Od trzech prezentowanych opinii odbiega nieco głos Mariana Czajki: *„Stwierdziłem również, że na zebraniach wiejskich bardzo często mówi się, że w Andrzejewie rządzi »klika«, i że w związku z tym wybór tow. Leszczyńskiej na sekretarza KG byłby świadectwem, że do Andrzejewa też dotarła odnowa i że byłby świadectwem na wiarygodność Plenum"*.

— Dlaczego wybrane zostały akurat te, a nie inne oświadczenia, choć było ich więcej? Dlaczego na zebraniach wiejskich mówi cię, że w Andrzejewie rządzi klika? Dlaczego wybór Leszczyńskiej, jak twierdzi jeden z miejscowych aktywistów, mógłby być świadectwem odnowy w gminie, świadectwem wiarygodności plenum? — Dałem te, bo odpowiadają opinii, jaką na ten temat mamy. Nic więcej nie udostępnię. Nic więcej nie powiem — zamyka nasze trzecie spotkanie przewodniczący WKKP.

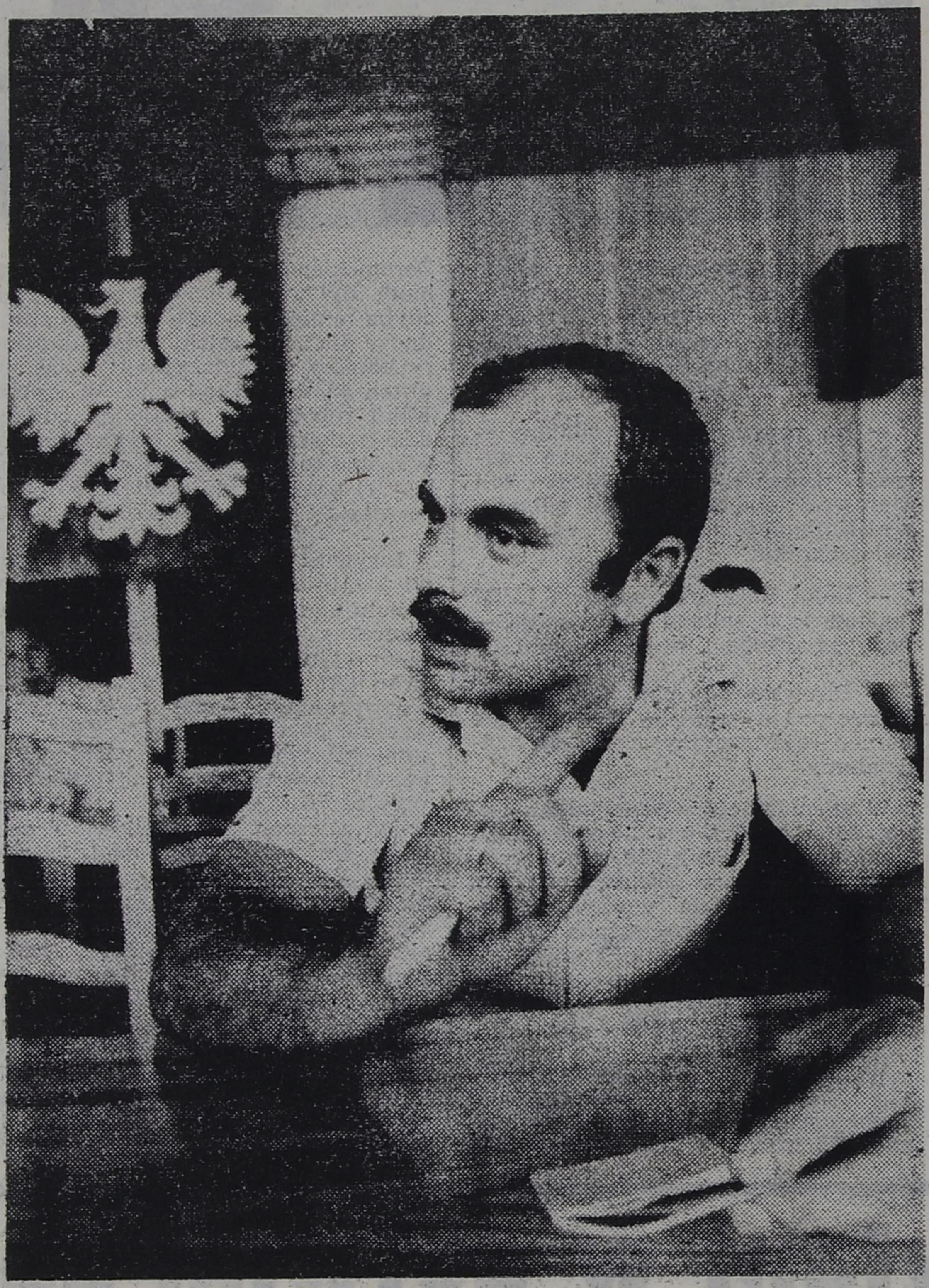

Czas na fakty. W Andrzejewie rzeczywiście sprawa sekretarza Marka Kaczanowicza została załatwiona zgodnie ze społecznym odczuciem sprawiedliwości. Zajmował mieszkanie w ośrodku zdrowia, w którym powinien mieszkać lekarz. Co do tego nikt nie miał i nie ma wątpliwości. Również sam Kaczanowicz.

— Gdy przychodziłem do Andrzejewa, przed trzema laty, uważałem, że nie powinienem tam mieszkać. Tym bardziej, że ośrodek ludzie pobudowali sobie sami. Innej propozycji od władz gminy jednak nie miałem, a gdzieś z rodziną musiałem się przecież podziać.

Mieszkanie, do którego wprowadził się Kaczanowicz od dłuższego czasu stało wówczas wolne. Pustką świeciło również pomieszczenie sąsiednie. Dopiero po dwóch latach udało się ściągnąć do niego farmaceutkę z pełnym wyższym wykształceniem. Zatem społecznie jest jasny powód odejścia sekretarza z Andrzejewa. Wiele niepotrzebnych namiętności wywołał natomiast sposób, w jaki rzecz całą rozegrano.

Fakty dalsze. W dniu 17 maja 1981 roku, na konferencji sprawozdawczo-wyborczej *„w wyniku głosowania tajnego* — zanotowano w protokóle — *j e d n o g ł o ś n i e I sekretarzem KG PZPR został wybrany tow. Kaczanowicz Marek"*. Nikt wówczas problemu zajmowania przez niego mieszkania w ośrodku nie podnosił. Także naczelnik Kuc, ani inni, ktorzy powiedzą później: — Nie ma sprawy. Kaczanowicz zajmował mieszkanie przeznaczone dla lekarza. Odszedł, bo musiał je opuścić.

W dziesięć dni później, 27 maja, na posiedzeniu Prezydium GRN, z udziałem dyrektora zambrowskiego ZOZ-u dr Kazimierza Pękały, sprawa ta stanie się jednak podstawowym tematem. Kaczanowicz, nie rozumiejąc jeszcze podtekstu „kwestii mieszkaniowej", oświadczył: — Z chwilą, gdy ZOZ znajdzie lekarza, następnego dnia opuszczę mieszkanie.

Słowa sekretarza zdają się nie posiadać jednak wiarygodności. Na kolejnej sesji GRN, w czerwcu, prezes gminnego ZSL, Zdzisław Żochowski żąda bowiem natychmiastowego zwolnienia pomieszczenia. Jednocześnie po Andrzejewie krążyć zaczynają, każdego do głębi wzburzające wieści: lekarz byłby w każdej chwili! Nie przyjeżdża tylko dlatego, że Kaczanowicz nie chce się wynieść z ośrodka.

Zastanawia się jeszcze: — Przecież ci ludzie mnie znają. Przecież przychodząc tutaj powiedziałem sobie — sekretarz nie jest dla naczelnika, dyrektorów, prezesów. Wydaje mi się, że nie odszedłem od tego. Więc dlaczego?

— Dlaczego? Każdy to panu powie. Tu jest klika. I od razu dodam — nie do ruszenia. A ten człowiek nie szedł z nimi na wódkę, nie brał w łapę, nie zachodził jak inni od tyłu do sklepu. Nie nadawał się do nich. Dlatego musiał odejść. Tylko — zastrzega — nazwisko dla pana. Siedemnaście lat jestem w partii, powinienem otwarcie... Ale ja tu zostaję. Klika także.

— Niech pan pójdzie do naczelnika Koca i nie przedstawia się, lecz powie, że ma sprawę, chciałby pracować lub coś w tym stylu — układa scenariusz „sprawdzianu" Mirosław Rudczyk, radca prawny SKR. Posiedzi pan ze dwie godziny pod drzwiami, potem naczelnik łaskawie wpuści, potrzyma — rozparty jak władca — na stojąco. Można mieć wyobrażenie, jak traktuje zwykłych „szaraczków", których zna. Dam tylko jeden przykład. Przysyła do nas pismo, w którym... zwalnia naszą pracownicę. Ówczesny dyrektor, dla którego naczelnik to car i boh, zwalnia. Ostrzegam — dziewczyna się odwoła, wygra, bo ma podstawy, i obciąży firmę, nie naczelnika. To nie jego kompetencje. Dopiero jednak, gdy spowodowałem, że sprawą zajęła się komisja WZKR, naczelnik łaskawie wycofał decyzję. Więc jak pan myśli, czy Kaczanowicz, do którego ludzie chodzili ze swomi sprawami częściej chyba niż do księdza — był mu wygodny pod bokiem?

— Kaczanowicz nie musiałby odejść, mieszkanie to pretekst, gdyby zechciał uczestniczyć w bibkach u pani prezes Szwarc z naczelnikiem i innymi. Pozornie to zdanie nie trzyma się kupy. Ale tylko dla tych, którzy nie znają Andrzejewa. To był jedyny człowiek z „władzy", na którego nikt w gminie nie powie nic złego — z przekonaniem potwierdza swą opinię kiwnięciem głowy nauczycielka, Krystyna Leszczyńska — w sytuacji, gdy na wsi na członka partii, czy jest w porządku czy nie, patrzy się podejrzliwie, to chyba coś znaczy.

Tę partyjność podchwytuję w następnych rozmowach. Nią właśnie zaczynam jątrzyć, gdy zbyt laurkowato polaryzują się opinie.

— No i co z tego? — słyszę — Partyjny — niepartyjny. Co mnie to obchodzi? Choć co niedzielę chodzę do kościoła! Mnie obchodzi, że ten człowiek nigdy nie przeszedł, żeby nie powiedzieć „dzień dobry". Że tak jak ja stawał w kolejce i stał godzinę, dwie Że, gdy sklepowa chciała obsłużyć go jak innych „wielkich", odmówił.

— Proszę popytać za to, czy widział kto w kolejce pana naczelnika. A po co pani prezes wieczorami zachodzi od zaplecza do sklepu z torbą lub siateczką? Tylko bez nazwisk — reagują na długopis obie rozmówczynie.

— Dlaczego?

— Pański samochód? — kobieta wskazuje na służbowego fiata — Więc za godzinę, dwie pana tu nie będzie. My zostaniemy.

— Kłuł ich tym, że ludzie go szanują. Próbowali go wobec tego wrobić. Przychodzi panienka z geesu, wpycha się bez kolejki i bierze karton proszku. „Dla Kaczanowicza" — oznajmia. Zakotłowało się w ludziach, ale nic nie mówią. Na drugi dzień sekretarz pyta, czy jeszcze jest proszek. Chciałby dwie paczki. Sklepowy miał prawo się zdenerowawać. „Przecież wziął pan cały karton" — rzuca mu w zdumione oczy.

Coraz bardziej zbaczam z reporterskiego zamierzenia: pokazać moralny problem odpowiedzialności za tego, którego się wybrało. Przefiltrować psychologicznie bohatera — skonfrontować z o d c z u c i a m i ludzi. Natłok faktów wymusza jednak nie górnolotną refleksję, lecz pytanie o źródło niemocy, goryczy, niewiary. Odkryję je wówczas, gdy roztrzęsiony rozmówca prowadzić mnie będzie do sąsiada, każąc iść pięćdziesiąt, siedemdziesiąt kroków za sobą.

— Boi się pan?

— Boję — bez cienia zawstydzenia odpowiada czterdziestoletni mężczyzna.

Kaczanowicz przybył do Andrzejewa we wrześniu 1978 roku. Urodził się i wychował w Gdańsku, tam przeżył grudzień 1970. I sam właściwie nie bardzo wie, dlaczego wybrał „wiejską" szkołę. Potem, jako nauczyciel zawodu w Technikum Ogrodnictwa i Hodowli w Nowym Stawie, „w ziemi" robić zaczął na dobre. Miał wówczas 23 lata i — jak większość — głowę przepełnioną wiarą w nowe. Dlatego chyba tak ostro zaprotestował, gdy na liście tzw. trzynastek zobaczył ludzi, którzy na siedemsethektarowym, szkolnym gospodarstwie, nie postawili nogi. A tylko ci mieli prawo do tej premii. Listę zaś otwierał dyrektor z zastępcami. Komisja, której n a z e b r a n i u p a r t y j n y m domagał się powołania z dwoma jeszcze kolegami, po zbadaniu sprawy, uznała jednak porządkoburców za wywrotowców. Po przerwie w żebraniu określenie wprawdzie złagodzono, zrzucając wszystko na karb młodości-durności i małego wyrobienia politycznego, ale jeden z „warchołów", załamany obrotem sprawy, natychmiast napisał podanie o zwolnienie z pracy. Jemu zaś nie jeden doradzał: „rzuciłbyś legitymację". Po trzech latach odszedł ze szkoły, z którą wcześniej — za różne inne sprawki — pożegnać musiał się dyrektor. Z wyróżnieniem skończył studia rolnicze w Olsztynie, potem zdał egzamin na studia doktoranckie w Warszawie. Nie podjął ich, bo choroba na trzy miesiące złożyła go do łóżka.

— Po tamtym pierwszym sparzeniu w szkole wiedziałem, że mierni-

kiem mojej wartości nie może być tylko opinia „góry" — odpowiada, gdy pytam, czy wie, co o nim mówią w Andrzejewie zwykli ludzie.

— Sekretarz zawsze trzymał z chłopami — skrupulatnie waży zdanie po zdaniu Tadeusz Ościłowski, przewodniczący NSZZ RI „Solidarność". — Opowiem tylko taką pozornie drobną sprawę. W Ruskołękach Starych wyniknął konflikt z powodu zlewniarki. Ludzie chcieli ją zmienić. Kaczanowicz orzekł: „Jeśli cała wieś chce mieć innego zlewniarza, musi być inny". Motanie naczelnika i powrót tamtej pani na jeden dzień, spowodował strajk wozaków — wrócili z konwiami do domów.

Z Kaczanowiczem zagrano sprytnie. Rękami ludzi. Moment był bardzo dobry, bo lekarz, który dojeżdża, akurat zachorował. Wystarczyło więc trochę ich podpuścić. Kto to robił? Naczelnik i ci, którzy z nim trzymają. Nie chłopi. Ba, żeby było ładniej próbowano to zrobić pod szyldem „Solidarności". A my, jako związek, w tej sprawie nie występowaliśmy. Ale też nikt nie mógł wystąpić za sekretarzem. Wyszedłby na tego, który nie chce, by we wsi na stałe był lekarz. Sprytne. Tylko, że Kaczanowicz się wyniósł, a lekarza jakoś nie widać.

— Boli mnie jedno — umknął chyba Kaczanowiczowi powyższy moment rozumowania przy ocenie ludzi z Andrzejewa. — Że nikogo nie było stać na proste zdanie: „Może znajdzie się jakieś inne wyjście".

Przyznam, że po kilku tygodniach zajmowania się tą sprawą, mało znaczący wydał mi się fakt: czy ktoś manipulował wyborami lub usiłował to robić przed i w czasie plenum. Nawet wówczas, gdy słyszałem, że sprawę bada WKKP. Zaskoczony jednak opinią i postawą przewodniczącego Komisji postanowiłem jeszcze raz wrócić do Andrzejewa. Może rzeczywiście zbyt jednostronnie ułożyły się oceny, z jakimi spotkałem się uprzednio.

Więc znowu znane mi już andrzejewskie błocka; szczególnie w okolicach budowy nowego pawilonu geesu. Z jednej strony „operatywność" — inwestycje obcięte, a tu się coś robi; z drugiej — ślady rażącego niedbalstwa: przecież niewielkim kosztem uliczki Andrzejewa mogłyby być schludne. Tu jednak bardziej dba się o namacalne „efekty", niż o wygodę ludzi. Tym bardziej, że w dalszym ciągu mogą oni skoczyć władzy na przysłowiowy kant. By pani prezes Szwarc mogła zwolnić dwójkę dozorców wystarczyły trzy słowa: „idźcie do domu". Bez biurokracji, papierków, wypowiedzeń. Nieważne, że ludzie ci pieczołowicie przechowują umowę o pracę na czas nieokreślony. Że są biedni. I co? I nic!

Komisja złożona z członków GZKiOR, „Solidarność" i przedstawicieli wsi na listę przydziału sprzętu, przedłożoną przez naczelnika, wnosi trzynaście poprawek. Akceptuje osiemdziesiąt trzy pozycje. Pan Koc komisję wysłuchuje w milczeniu — przydziela drugi ciągnik Henrykowi Godlewskiemu, daje nową młockarnię, przyznaną komisyjnie czterem młodym rolnikom, Józefowi Wojtkowskiemu — choć ten maszynę już posiada. Mało tego — dokłada mu snopowiązałkę. I co?

— Będziemy interweniować — zapowiedział naczelnikowi przewodniczący GZKiOR, Jerzy Kulesza.

— Róbcie sobie, co chcecie.

Więc pozostaje wstyd, że się takiej komisji przewodniczyło. Bo naczelnik wie, co mówi do ludzi: — Z pretensjami nie do mnie; sami dzieliliście, wasza komisja...

— Jak mam ludziom patrzeć w oczy? — pyta Jerzy Kulesza.

— Bzdury — słyszę w gminie — o traktor, maszynę nie tak trudno. Trzeba tylko wiedzieć, ile „kosztuje".

Swoją cenę ma pozwolenie na budowę, cement, pustaki, cegła. Inspektor Urzędu Gminy do spraw budownictwa nie gardzi także walutą znacznie stabilniejszą niż złotówka. Być może wyjaśnia to fakt, że jedni mają cement na betonowanie podwórka, inni nie doproszą się go nawet na budowę domu, obory. I co?

— Wygłupiłem się ze skargą na inspektora do Urzędu Wojewódzkiego — niemal żałuje swego kroku Antoni Kotomski. Zwierzchność tak szybko przeprowadziła „kontrolę", że już następnego dnia wieczorem przybiegła jego żona i mówi, że jeśli wycofam skargę, mąż... da mi trochę materiałów budowlanych. I trzeba było tak zrobić. Dziś miałbym pewnie gotowe podpiwniczenie. Nie wycofałem, więc pan inspektor powiedział jasno: „Dopóki tu jestem — grama niczego nie dostaniesz". Słowa dotrzymuje.

Nie ma też silnych na tutejszy „Bar". W opowieści, jakie słyszałem, nie bardzo chciało się wierzyć. 6 września, w niedzielę, osobiście odbieram „barowy" obrazek: tłum gapiów, na ziemi nieprzytomny Sławek Dąbrowski. Wychodząc z baru sturlał się ze schodów wprost na brukowaną jezdnię. Rozbita głowa, ciężki oddech. Za chwilę przyjeżdża karteka i zabiera go do Zambrowa. Kapral Krzysztof Papież z miejscowego posterunku może jedynie bezradnie pokiwać głową.

— Jest nas trzech. Nie musielibyśmy robić nic, tylko pilnować pijaczków przy barze. Na okrągło. Dziś ten — wskazuje leżącego — w ubiegłą niedzielę rozbił się w Grzymkach „zaopatrzony" w barze fiat. Dwa tygodnie temu najpierw bójka, potem potrącenie przez warszawę.

Po raz pierwszy zaskakuje mnie zupełnie oklapnięty Władek Nawacki. Twierdzi, że nie ma już o czym mówić ani pisać. Była WKKP. Zajęła się plenum. A przecież, gdy tu się czegoś porządnie tknąć, muszą wyjść i inne sprawy. Mogę być spokojny — to co oświadczył komisji, potwierdzi zawsze. Ale opowiadać o tym raz jeszcze po prostu już mu się nie chce. Bo komu wierzyć? Na plenum naczelnik powiedział: „Wrzucić ten regulamin do kosza". Potem ten, który siedział obok niego niczego nie słyszał. Więc może nic nie słyszał?

— Wcale nie miałam zamiaru kandydować na sekretarza — Krystyna Leszczyńska przejawia już zmęczenie całą sprawą. — Mam swój zawód. Gdy jednak — znając tutejsze układy — pomyślałam, że i tu może nim zostać „swój" człowiek, zdecydowałam się. W maju, na konferencji wyborczej na 40 głosów otrzymałam 36. Później nagle stracono do mnie zaufanie. To zastanawiające. Czekałam na przyjazd WKKP. Nikt jednak u mnie nie był. Teraz widząc, że i Komisja nie była w stanie niczego ruszyć, nachodzą mnie myśli, czy nie lepiej wycofać się ze wszystkiego. Nie oddać legitymacji.

Na plenum, które rozbiło reporterską koncepcję, Marek Kaczanowicz złożył oficjalną rezygnację. Należało dokonać wyboru nowego sekretarza. Padła kandydatura nauczycielki, Krystyny Leszczyńskiej. Żeby przejść w wyborach musiałaby otrzymać pięćdziesiąt procent głosów plus jeden. Uzyskała 45 procent.

— Jak mogło być inaczej — brzmią mi w uszach słowa Marii Grabowskiej, sklepowej z Gostkowa — gdy w czasie samego głosowania trąca mnie w bok kierownik służby rolnej i mówi, by Leszczyńską skreślać. Potwierdzę to zawsze. To samo wcześniej powiedziała mi pani prezes Szwarc. Ale to, na miłość boską, między nami! Ja w tym sklepie pracuję i chcę pracować.

„Przedstawiciel KW stwierdził, że w jego oczach organizacja w Andrzejewie traci dobrą opinię — czytam jeszcze w oświadczeniu Mariana Czajki — *i podziękował za spektakl, jakiego był świadkiem".*

— Tak powiedziałem — mówi inspektor organizacyjny KW, Janusz Mariak. — Po plenum, już na zewnątrz usłyszałem, jak jedna z kobiet określiła że to, co miało tam miejsce „to był cyrk". Mogę się z tym zgodzić. Dlaczego? WKKP była w Andrzejewie, więc powie.

— Czego ten Kaczanowicz jeszcze chce? — zamyśla się naczelnik, Tadeusz Koc. Nie trzeba psuć atmosfery. A trzej mężczyźni zawsze znajdą godny temat do rozważań. Choćby wczorajszy mecz z Niemcami. Przerżnęliśmy jak chłopcy, a tak w tym krachu przydałby się choć jeden sukces. W ogóle niełatwo teraz. Rok minął, a tej odnowy, tych zmian w kraju, jakoś niewiele. Ciężko to idzie. No, to na „drugą nóżkę". Za pomyślność!

WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

w obiektywie

*

W Hucie Szkła w Jaworznie, która tak przemyślnie opakowała swe wyroby serdecznie dzięki za przesyłkę.

Mnóstwo tłuczonego szkła zamiast wielu tysięcy dorodnych słoików przywieźli do Łomży nasi pracowici kolejarze angażując do przebierania stłuczek ludzi, którzy w tym czasie i za te same pieniądze mogliby rozładowywać towary tak potrzebne na sklepowych półkach.

Takie okazałe kosztele, jako spady po 5,60 zł za kilogram, w ilości kilku ton dostarczyła do punktu skupu pracownica SKR w Andrzejewie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jabłka te są własnością SKR i po dojrzeniu miały być rozprowadzone wśród pracowników tej jednostki. Chcą ją za to ciągać po sądach, a przecież intencje były jasne — uchronić ich przed przejedzeniem, które jest szczególnie groźne w naszych czasach.

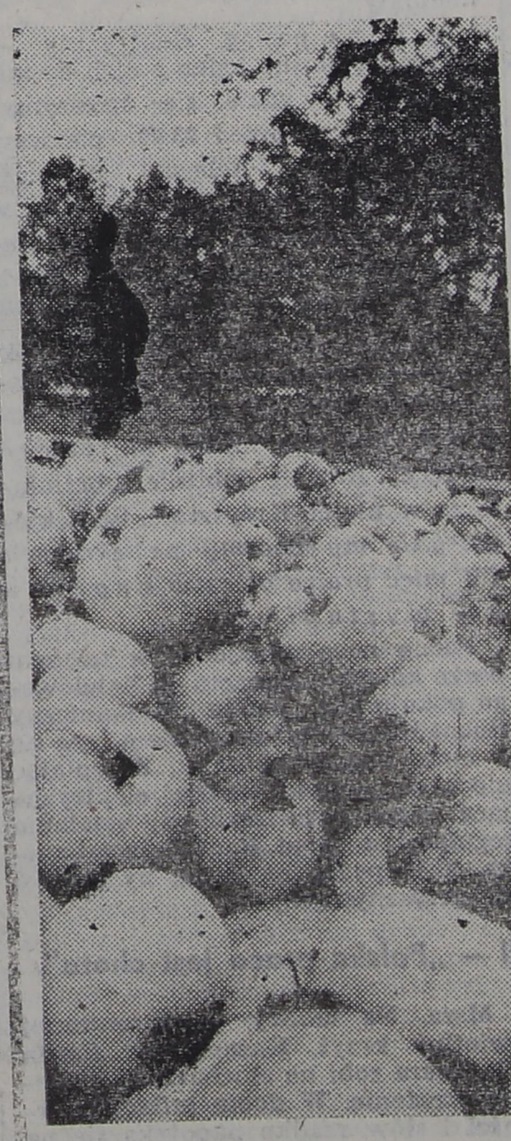

*

By rozkoszować się widokiem górskiego budownictwa mieszkańcy województwa nie muszą koniecznie jechać do Zakopanego. Taki swoisty skansen mają daleko bliżej — stwo-

rzył go u siebie naczelnik gminy Nur. Do pełnego szczęścia brakuje tylko jednego rekwizytu. Gór. Nic to — góry przeniesiemy społecznie.

*

Latające koła to żadna nowość dla naszej znakomitej kadry inżynieryjno-technicznej i warsztatowych fachmanów. Myśleli wspólnie nad tą skomplikowaną konstrukcją tak długo, że doszli prawie do perfekcji. I chwała im za to — pójdą wprost do nieba. Oby przed użytkownikami tychże majstersztyków.

Repr. GABOR LÖRINCZY

„Kontakty" na Zjeździe „Solidarności"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

już zapisywała. Pokazuję delegację i tłumaczę, że to niemożliwe. Z sali obrad dobiega Mazurek, a potem „Boże coś Polskę". Płacę 500 złotych, wpinam znaczek „PRESS" i wpadam zdyszany do hali w momencie, gdy owacyjnie witany, staje za mównicą Lech Wałęsa. Mówi mocno, dobitnie. Co chwilę sala przerywa mu oklaskami. Gdy informuje, że Zjazd nie będzie transmitowany, gdyż związkowi nie zagwarantowano możliwości autoryzacji, i oświadcza: „[...] niech odpowiedzialni za ten stan rzeczy zrozumieją: »Solidarność« jest i pozostanie, czy się komuś to podoba, czy się nie podoba", sala wstaje, nie milkną brawa. Dzisiejszy Wałęsa to rozdrażniony lew. W niczym nie przypomina tego Lesia sprzed kilku tygodni, który gromił tzw. radykałów. „[...] wygramy — kończy w oklaskach — i tę Polskę zrobimy taką, jaką sobie wymarzyliśmy, bo inna być nie może". Sto lat! Sto lat! I znów brawa. Początek taki, że idą w górę serca. Poczty sztandarowe opuszczają salę. Wśród nich nieśmiertelny ornament każdej uroczystości — górnicy na galowo — jedyny na tym Zjeździe. Temperatura sali szybko opada. Rozpoczyna się nuda dla dziennikarzy i gości, a i delegatów: sprawy proceduralne. Rozglądam się po hali, w której zazwyczaj odbywają się imprezy sportowe. Dzisiaj rozpoczął się tutaj szczególny mecz — o Polskę. Na płycie boiska regiony zgrupowane w 18 sektorach. Niepowtarzalna mapa kraju: Dolny Śląsk obok Torunia, Pomorze Zachodnie z Białymstokiem. Razem 42 regiony; 896 delegatów reprezentuje 9 mln 486 tys. członków. Prezydialny stół na podwyższeniu, przykryty białym obrusem, jakby wigilijnym. Z tyłu, czerwone tło. Na nim zawieszony pośrodku historyczny krzyż z sali konferencyjnej stoczni gdańskiej. Po jego lewej stronie orzeł. Dalszego ciągu analogii z pamiętnej sali brak. Usiłuję przedostać się z balkonu prasowego na drugą stronę do zjazdowych kuluarów. Jest to niemożliwe. Wszystkie przejścia pilnie strzeżone. Dziennikarze mają swój rewir. Kto jest kto, na Zjeździe mówi kolor plakietki. Niebieskie — dziennikarze, zielone — goście Zjazdu, pomarańczowe — delegaci, żółte — organizatorzy, białe — biuro prasowe i służba porządkowa. Próbuję zdobyć za pośrednictwem kolegów z prasy związkowej białą plakietkę, która umożliwia swobodne poruszanie się po całym obiekcie. Nic z tego, są ściśle wyliczone i nie wydano ani jednej więcej.

Pozdrowienia dla Zjazdu od ministra Stanisława Cioska. Kurtuazyjne brawa sali. Z uwagą wysłuchuję dwóch pierwszych przedstawicieli konfederacji związkowych. Na Zjazd przyjechał z 8 krajów pierwszy garnitur związkowców świata zachodniego. Dalsze mowy powitalne powtarzają się, wielu tłumaczy ma fatalną dykcję, tłumaczenie tekstu gościa z Jugosławii zlewa się w bełkot, do tego dochodzi okropna akustyka sali. Efekt — po dwóch godzinach człowiek wyłącza się ze słuchania. Sala również słucha z coraz bardziej słabnącym zainteresowaniem. Z sympatią przyjmuje się próby wypowiedzenia kilku pierwszych słów po polsku. Żywsza reakcja, gdy mowa jest o „Solidarności", rządzących, o prawie narodów do samostanowienia i suwerenności, o wolności i sprawiedliwości. Każdy z przemawiających deklarował pomoc. „Wy potrzebujecie naszej pomocy — powiedział Jef Hauthouys, wiceprzewodniczący światowej Konferencji Pracy — ale i my potrzebujemy waszego sukcesu, by móc uczynić ten ruch na całym świecie Niezależnym i Samorządnym".

Przerwa obiadowa. Do holu wylega brać dziennikarska; 702 opisujących ten Zjazd, z różnych stron świata i kraju. Jest nawet słynny Jan Lipavsky, korespondent „Rudego Prawa" znany z obiektywizmu swoich relacji. Rzucamy się na dwa suto zaopatrzone bary w kanapki z wędliną, apetycznie umajone w dodatki — 10 złotych, z serem — 9 złotych. Gorące parówki, porcja około 30 zł. Do popicia kawa, herbata, tonik, miranda i woda mineralna. Papierosy kartkowe. Rozglądam się podczas obiado-śniadania po pobratymcach. „Kultura" przysłała silną grupę pod wodzą Jacka Maziarskiego. Tygodnikowi „Solidarność" przewodzi Tadeusz Mazowiecki. Z „Literatury" przybył Wojciech Adamiecki. Zagaduję Macieja Wierzyńskiego z TVP jak się zaopatruje na brak transmisji. — Jest to zdecydowana strata dla społeczeństwa.

Na sali obrad atmosfera totalnego luzu. Przywodzi to na myśl raczej zlot trampów niż Zjazd wielomilionowego związku zawodowego. Ma się wrażenie, że za chwilę ktoś wyciągnie gitarę i rozpocznie się festiwal piosenki turystycznej. Sztampa wszystkich tego typu Zjazdów została tutaj pogrzebana. Ani cienia sztuczności — spontaniczność, swoboda do granic anarchii. Głosuje się najdrobniejszą kwestię, uwzględnia każdy wniosek, a jest ich coraz więcej, i w bzdurnych, i w ważnych sprawach. Poziewuję ukradkiem. Spodziewałem się ujrzeć, jak zdrowy trzon robotniczy jest zmuszany do kontrrewolucji przez ekstremistów (Kuroń kręci się tu i tam), a tymczasem... głosuje się porządek obrad. Sala trochę otrząsa się z letargu w momencie wystąpienia Stanisława Wądołowskiego, który był w Olsztyńskich Zakładach Graficznych jako przedstawiciel KKP. — „Nic z tą naszą władzą nie można załatwić, stawiam pytanie czy kiedykolwiek będzie można załatwić".

W przerwie kolacyjnej, o 19.00 konferencja prasowa z rzecznikiem prasowym Zjazdu Januszem Onyszkiewiczem. Opowiada napchanej sali, jakie to hocki klocki wyczyniał Radiokomitet, wpierw z taśmami z konferencji prasowej emitowanej w przedzień Zjazdu. Dziennikarze głośno rozważają, czy takie posunięcie było słuszne, może jednak należało ulec? Dalej popłynęły żale. Jerzy Bielecki z „Trybuny Ludu" (śmieszek na sali) skarży się, że nie został dopuszczony do głosu podczas owej konferencji, ktoś z „Odgłosów", żeby nie dzielić dziennikarzy na złych i dobrych. Janusz Onyszkiewicz na to, że dzieli dziennikarzy wyłącznie na uczciwych i nieuczciwych. W trakcie konferencji jakiś „górnik" chce wyrzucić z sali Jacka Kuronia. — Panie Onyszkiewicz, pan jesteś rzecznikiem, to prowadź konferencję, a nie pan Kuroń. Kuroń odchodzi, ale mówi do „górnika": — Ja pana skądś znam, pan mi się źle kojarzy.

Dowiadujemy się jeszcze, jak to było z tym niezaproszeniem związków zawodowych z krajów RWPG. Dwa miesiące temu „Solidarność" wysłała zaproszenia do Światowej Federacji Pracy w Pradze.

Wracamy na salę obrad. Janusz Onyszkiewicz informuje delegatów o tendencyjnym pocięciu przemówienia Wałęsy w DTV. Materiał uzyskano od Panoramy Gdańskiej. Pracownik telewizji i delegat wyjaśnia, że Panorama zastrzegła, że korzystać można tylko z całości materiału. Aby uniemożliwić DTV otrzymywanie tą drogą filmów, cofnięto akredytację TV gdańskiej. DTV usiłował odkupić taśmę od TV francuskiej lecz ta odmówiła. Sala kwituje to hucznymi brawami.

Zmęczenie delegatów sięga szczytu. Przewodniczący szybko i bezbarwnie czyta wniosek po wniosku, delegaci machinalnie podnoszą i opuszczają mandaty.

— To nie pociąg elektryczny — zżyma się głośno jeden z nich do mikrofonu — gdzie się śpieszymy? Zjazd kończy przed 23.00 pierwszy dzień obrad, a delegaci pierwszy chrzest demokracji. Jeszcze tylko w centrum prasowym Janusz Onyszkiewicz, Karol Modzelewski i Jacek Kuroń powołują Radę Szybkiego Reagowania na fałsze telewizji. Karol Modzelewski wymienia kilka haseł: „Nie wpuszcza się do domu złodzieja, jeśli nie można mu patrzeć na ręce". Równie dobitnie zabrzmiało to w ulotce Krzysztofa Walickiego: *„Ale my chcemy na ekranach TV mieć prawo głosu w kagańcu nie wystąpimy."*

Późną nocą odnajduję w nocnym barze kolegę z kluczem od hotelowego pokoju. Na scenie „Mechaniczny Robot Kuchenny" omal nie ociera się o mnie nagimi sutkami. Zasypiając nie wiem co było bardziej elektryzujące: piersi striptizerki czy ustalanie regulaminu obrad. Rano dylemat znika, a ja pędzę na mszę, by pozbyć się grzesznych myśli.

II — „Polska praca jest chora".

Msza. Na tablicy elektronicznej świetlny krzyż. Kazanie ks. Józefa Tischnera robi na słuchaczach głębokie wrażenie. W dobie inflacji wartości i słów rzadko napotyka się na takie grudki złota:

— [...] Polska praca jest chora. Właśnie z tego powodu tu jesteśmy, że polska praca jest chora [...]. Praca w Polsce zamiast pogłębiać wzajemność, zamiast być płaszczyzną człowieka, stała się płaszczyzną nieporozumienia, sporu, nawet zdrady. Wody Wisły są brudne. Wody Wisły są nawet krwawe. Jesteśmy tu po to, aby oczyścić wody Wisły.

[...] Kluczem do niepodległości jest dziś niepodległość polskiej pracy.

[...] Bo nie to się „liczy w historii kto ma siłę, ale kto ma rację".

Po mszy pytam Seweryna Jaworskiego, wiceprzewodniczącego regionu „Mazowsze" czy dzisiaj zacznie się Zjazd na serio.

— Myślę, że po referacie sprawozdawczym KKP ruszymy. Pierwszy dzień trzeba spisać z góry na straty.

Jednak drugi dzień obrad potoczył się podobnie jak pierwszy. Wpierw odczytywanie telegramów i listów z życzeniami dla Zjazdu. Później rytuał wniosków formalnych, przeplatanych wystąpieniami gości. Referat wygłoszony przez sekretarza KKP, Andrzeja Celińskiego wypłasza przywódca robotników poznańskich w czerwcu 1956 roku. Wszyscy wstają z miejsc. — Czy robotnicy Poznania, robotnicy Wybrzeża, czy wszyscy ci ludzie musieli odać życie — pyta przejmującym głosem — [...] Trzeba stwierdzić, że wszyscy ci ludzie, którzy głoszą odnowę, a z drugiej strony są autorami różnorodnych prowokacji, manipulacji społeczeństwem; są takimi samymi jak ci, co strzelali najpierw w Poznaniu, a później na Wybrzeżu.

Udaje mi się wreszcie przedostać na balkon gości Zjazdu. Szukam zaproszonych branżowców, którzy przybyli na Zjazd incognito. Bez rezultatu. Albo się dobrze zakonspirowali, albo ich po prostu nie ma.

Jest pierwsza jaskółka rozpoczęcia merytorycznej części Zjazdu, ale zaraz ją delegaci wypłoszyli. Mówca, który prezentuje tezy programowe swego regionu, robi to niezręcznie, a i tezy są oklepane. Sala wymachuje mandatami, a gdy to nie pomaga, wykłaskuje mówcę.

Delegaci powoli przenoszą się z sali obrad do kuluarów. Dostaje się

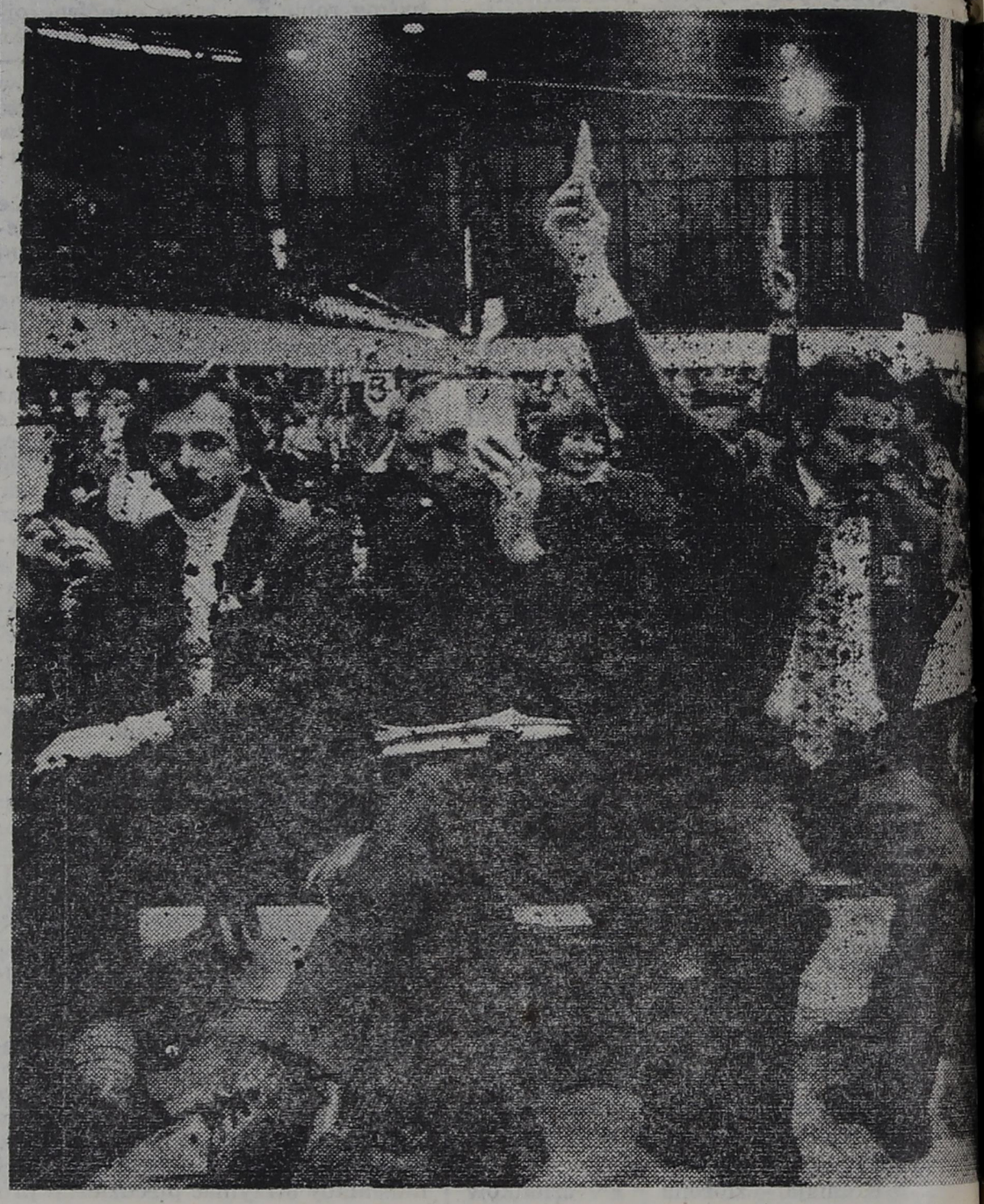

wielu do kuluarów. Jeżeli ktoś go zrozumiał, to chyba tylko sam mówca, który mówi niewyraźnie i niechlujnie.

Wielu delegatów oceniło ten referat na trzy z minusem. — „Same ogólniki", „Na odwal się"; „Fasadowy" — takie opinie wyławiałem najczęściej.

Sala rozruszała się, gdy goście z Japonii wręczyli Wałęsie zegar — By rozwój związku odbywał się z ruchem jego wskazówek — a głowę udekorowali mu szyszakiem samurajskim. Entuzjazm sięga zenitu. Wałęsa rozpromieniony ujmuje gości za ręce i podnosi do góry: Victoria! — Ponoć niektórzy ujrzeli w tym momencie Fudżijamę i kwiat Wiśni. Zapachniało II Japonią.

W przerwie odnajduję Marka Rutkowskiego, przewodniczącego KZ NSZZ „Solidarność" w „bawełnie" zambrowskiej. Delegaci regionu „Mazowsze" jadą złożyć wieńce. Pierwszy — pod pomnikiem ofiar Grudnia w Gdańsku. Trzy krzyże wyrastają z twardej, bez źdźbełka trawy, skorupy ziemi. Jakby krew, która tu wsiąkła, wypaliła wszelką roślinność. Westerplatte — drugi wieniec. Przy „zdemontowanym" czołgu — kamienny krzyż. Jest śliczna słoneczna pogoda. Na wodzie widać nieruchomy okręt. Jak wtedy... Do Gdyni jadę w jednym autobusie z samymi znakomitościami. „Mazowsze" przywiozło na Zjazd trust mózgów. Wysiadamy. Gdynia. — Uczcijmy minutą ciszy poległych — mówi Seweryn Jaworski.

Nieoczekiwana pointa czeka nas po powrocie do „Oliwii". Na salę obrad wchodzi o kulach Stanisław Matyja, za to Wałęsie, Lisowi i Gwieździe. — Nie wałęsam się bez potrzeby — usprawiedliwia się przewodniczący Związku. Zmęczeni delegaci przyjmują z ulgą wniosek, by przed kolacją zamknąć obrady.

— Poczet sztandarowy do wyjścia — ogłasza przewodniczący obrad. Hymn, i sala pustoszeje.

W centrum prasowym konferencja z udziałem Jana Kułaja: — Powtarzam, oprócz mięsa i owoców południowych żywności w Polsce mamy pod dostatkiem, niech tylko robotnicy dopilnują, żeby trafiała do sklepów.

— Jak oceniam dwa pierwsze dni? — Tadeusz Mazowiecki prosi, by wyłączyć magnetofon. — Wyglądały jak imieniny Lecha Wałęsy. Dużo gości i rwetes.

III — Idziemy na bój!

Już nie deszcz, a ulewa propozycji zmian w statucie lunęła — trzeciego dnia obrad 300 propozycji! Zjazd od razu nabrał rumieńców. Zderzyły się z sobą dwie koncepcje struktury władz związkowych. Powstają pierwsze przymierza. Jan Kropiwnicki z Łodzi i Karol Modzelewski z Dolnego Śląska stają się rzecznikami władzy silnej i scentralizowanej. Zbigniew Iwanow z Torunia i Michał Krupiński z Warmińsko-Mazurskiego i Władysław Blajerski z Lublina — opowiadają się za zdecentralizowaną, demokratyczną strukturą. Mają za sobą większość dyskutantów. Z chaosu różnych opinii wyłania się powoli klarowny obraz: prawie wszyscy mówcy są przeciwni łączeniu

funkcji związkowych oraz wchodzeniu przewodniczących regionów awansem do Prezydium KKP. — DEMOKRACJA — wołają — i tylko DEMOKRACJA. Wówczas następuje pierwsze spięcie. Do mikrofonu podchodzi Lech Wałęsa: — Konieczne jest łączenie stanowisk przewodniczących regionów i członków Prezydium KKP — przecieram uszy, czyżbym się przesłyszał? — gdyż inaczej zarządzenia KKP nie będą miały mocy wykonawczej, a regiony staną się udzielnymi księstwami. Idziemy na bój — zagrzmiał Wałęsa — w Prezydium muszą być generałowie. Bez takich generałów dywizji jak Bujak — przegramy.

Zagotowało się. Do mównicy podrywa się Lech Sobieszek (Gdańsk): — Dyktaturę proletariatu to my mieliśmy przez 36 lat — woła. Proponuje skreślenie z preambuły „kierownicy". Popiera go Rulewski. Nikt tej „śmierdzącej" kwestii nie podejmuje. Za to Jan Chuszcza z Chełma wnosi propozycję znaną mi z innych Zjazdów, by mogli kandydować ludzie nie będący delegatami. Jakiś

manipulo kłania się zza kulis. Przerwa obiadowa uśmierza spory. Po przerwie na sali pustki. Korzystam z tego, że rozpoczęcie obrad się przewleka i wdaję się w pogawędkę z Ryszardem Bugajem:

— Nasz region — mówi — przyjechał niedostatecznie przygotowany do Zjazdu, myślę że inne regiony również, stąd mała sprawność obrad.

— Za którą koncepcją pan się opowiada? — pytam.

— Formuła Wałęsy jest dobra. Siła związku tkwi w regionach, a ciało, w którym spotykają się reprezentanci regionów zapewni jednolite działanie.

Sala zapełniła się i rozpoczął się jarmark. Dziesiątki wniosków naraz. Ktoś domaga się, by uchwalić coś od ręki, a główny temat obrad spokojnie sobie drzemie. Zdenerwowało to Bugaja.

— To nie są sprawy priorytetowe, zajmiemy się tym na koniec Zjazdu.

Tak, tak, Anglicy sztuki parlamentarnej uczyli się wieki całe. My dopiero raczkujemy. Demokracja na tym Zjeździe przypomina dziecko bawiące się klockami — układankami. Co ułoży w miarę sensowny wzór, zaraz rozwali.

Następna burza przetacza się w sprawie rozdziału funkcji wykonawczej i uchwałodawczej. Część sali jest zdezorientowana. Nie rozumie tego podziału. Głównym przeciwnikiem takiego rozwiązania jest Karol Modzelewski. Proszony jest mecenas Jan Olszewski o wyjaśnienie problemu. No i mecenas kładzie całą sprawę. Miast jasno wyłożyć, co to jest władza uchwałodawcza, a co wykonawcza; zaplątuje się w wykład, który wszystko zaciemnia. Wstaje brodacz z Komisji Skrótacyjnej i prosi o głos. — Jestem zwykłym robolem ze stoczni i już nic nie rozumiem. — Mówi dramatycznym głosem. — Kto ma rację? Na kogo mam głosować? Czy na projekt Modzelewskiego, czy mecenasa?

Któryś z delegatów głośno posądza Jana Olszewskiego o manipulowanie. To wystarczyło. Głosowanie. Wynik — nie rozdzielać.

— Szansa została zaprzepaszczona — powie mi w kuluarach Marek Rutkowski — Projekt Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych miał stworzyć precedens demokratycznej struktury organizacji związkowej w naszym systemie. Dotychczasowa struktura „Solidarności" była odzwierciedleniem struktury PZPR i to pozostanie nadal. Dawna struktura państwa zakorzeniona jest mocno w świadomości delegatów, stąd taki wynik.

Inni delegaci „Mazowsza" też nie pochwalają takiego rozwiązania, ale „potrzebna nam jest silna władza, nawet typu półwojskowego, przynajmniej teraz". Odrywam się na moment od polityki, by poflirtować z dwiema harcerkami z kręgów instruktorskich im. A. Małkowskiego. Harcerze obsługują delegatów na sali obrad. Agata (17 lat): Jak zachowują się delegaci? Są nawet tacy, którzy śpią, inni rozmawiają albo czytają gazety. To przez te formalności. Ewa (18 lat): — Ludzie dopiero uczą się dyskutować.

Po konferencji Marek Rutkowski zabiera mnie na zebranie „Mazowsza". Po każdym dniu obrad regiony w swoich miejscach zakwaterowania robią podsumowanie i ustalają plan gry na następny dzień.

Zebranie prowadzi prof. Bronisław Germek. Ludzie są zmęczeni, toteż dyskusja robi się jałowa. Ustalono, że jutro trzeba jako pierwszy punkt obrad przegłosować sprawę Uchwały o samorządzie. Aleksander Małachowski apeluje, by nie zapominano o jego projekcie utworzenia Międzyregionalnego Funduszu Inwalidzkiego. Ktoś zgłasza wniosek, by delegaci oddali swoje kartki na mięso dla domów dziecka. Wszyscy akceptują. Koniec zebrania. Spaaać.

IV — „Posłanie".

Zaraz po wejściu do holu prasowego dostaję miesięcznik rzeszowski. Muszę oddać w rewanżu coś równie atrakcyjnego. Niepisane prawo Zjazdu. Na zewnątrz „Oliwii" handel plakietkami „Solidarności". Do autokarów wiją się ogromne kolejki po biuletyny regionalne, płyty „Gdzie słońce wschodzi", plakaty. Wewnątrz — pisma związkowe idą jak woda. Kasety z „Piosenkami Zakazanymi" po horrendalnej cenie — 300 złotych, też się rozeszły.

Obrady, jak ustalono wczoraj w „Mazowszu", otwiera sprawa uchwały o samorządzie. Już, już wydaje się zostanie przegłosowana, gdy rozlewa się długotrwała debata, czy głosować tak czy siak. Krótka przerwa dla ostudzenia głów. To — sprawa samorządu idzie na półki. Dolny Śląsk domaga się uchwalenia tez programowych. Inne regiony perswadują, żeby nie zajmować czasu uchwalaniem pustych haseł.

— Pojadę do domu i zawiozę słogany, że z Lechem Wałęsą zbudujemy z Polski drugą Japonię — woła jeden z delegatów.

Dolny Śląsk jest jednak uparty, a czas płynie. Prezydium nie panuje nad sytuacją. Wreszcie wygadano się i powraca sprawa samorządu. Głosowanie: 1 głos przeciw, 1 wstrzymujący. Wszyscy wstają z miejsc i długie, rzęsiste brawa. Po trzech dniach pustej gadaniny pierwszy konkretny rezultat. Znów walkuje się też Dolnego Śląska. Przerywa to przelewanie pustego w próżne Komisja Uchwał czytaniem dwóch projektów uchwał. Jedno z nich to „Posłanie". Coś jak iskra elektryczna przelatuje po słuchaczach. Wszyscy wstają z miejsc, z balkonu prasowego także. Głosować czy nie głosować — rozgorzała dysputa.

— Dopuściliśmy do triumfu krasomówstwa i grafomanii na Zjeździe — oświadcza Jan Rulewski — Salonowe uchwały nic nie dają. Proponuję wydać księgę i niech się w niej krasomówcy ogłaszają.

Gdyby uchwałę odłożono na później rozsądek polityczny wziąłby górę, a tak na fali entuzjazmu na chybcika przegłosowano i narobiono bigosu.

W czasie przerwy odbieram materiały z teczki, wśród nich pisemko jednokartkowe, powielaczowe, które powstało w trzecim dniu Zjazdu i zrobiło błyskawiczną furorę. Jest kąśliwe, złośliwe, ale dobre. Ku uciesze czytelników cytuję fragment felietonu pt. „Ostatni Koniec Zjazdu".

„Zmierzchał 384 dzień I tury Zjazdu. Przed słynną halą w jesiennym dniu mokły kamery polskiej TV importowane z drugiego obszaru płatniczego. Funkcjonariusze wokół Olimpii otrzymali następny awans. Sympatycy Zjazdu zakładali pod halą rodziny, kobiety wiły potomstwo. Służba porządkowa zbierała pożółkłe mandaty na Pomnik Ofiar Zjazdu [...] Coś trzeszczało. Mróz skuwał halę w lodowisko. W żółtej poświacie 385 dnia Zjazdu światła Japonia. Delegaci zapylili pierwszy kwiat kwitnącej Wiśni [...]"

W kuluarach Wojciech Ziembiński rozdaje „Apel Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu o wolne wybory w Polsce" (Nie wolno tego czynić na sali obrad). Młoda kobieta nie musi rozdawać, wyrywa jej się z rąk tekst Jerzego Milewskiego: „Polska Partia Pracy". Ktoś inny wręcza mi pismo do Prokuratora Generalnego PRL.

Otrzymuję również wstępne dane, o które do tej pory bezskutecznie zabiegałem. Największy procent członków PZPR wśród delegatów ma Gdańsk (14) i regiony małe (11); bezpartyjna jest tylko Małopolska (trzeba było dziesięć hut wybudować wtedy zniszczyłoby się konserwę krakowską. Jedną przetrzymali). Przewaga z pochodzeniem robotniczym. Wyjątek stanowi „Mazowsze". 58 procent inteligencji. Innych danych (wiek, liczba kobiet) brak. Chyba, że uzupełnimy je danymi TASS-a: 89 procent delegatów to — zdaniem tej agencji — etatowi pracownicy „Solidarności", KOR ma wśród delegatów 120 zwolenników, a KPN — 70.

V — Dzień demokracji.

Dzisiaj ma zapaść ostateczna decyzja o strukturze władz ogólnozwiązkowych. Głosowanie zadecyduje, czy federalizm i demokracja, czy centralizm i dyktatura. Na samym początku obrad wyskakuje jak Filip z konopi Lech Sobieszak z Gdańska ochrzczony siwąkiem Zjazdu. Z uporem maniaka żąda usunięcia zapisu o „kierownicy". Domaga się tajnego głosowania. Głosowanie takie odbędzie się, jeżeli wniosek poprze 10 procent delegatów. Marek Rutkowski przekazuje mi, że najbardziej napierają na to robotnicy. Sobieszak puszcza listę po sali obrad. Sprawa na szczęście upada. Największe emocje zaczynają się, gdy dochodzi do głosowania poprawek do rodziału IV Statutu. Służba porządkowa „wyłapuje" delegatów w kuluarach i „zapędza" na salę. Nikogo nie wypuszcza na ten moment. Karol Modzelewski aż zrywa się z krzesła i paru niezdecydowanym pokazuje wariant, na który należy głosować; Dolny Śląsk i Łódź jednomyślnie za wariantem IV — 257 głosów za; wariant I otrzymuje dwa głosy więcej. Ponawia się głosowanie. By zapis wszedł trwale do Statutu musi być 449 za. Wariant I mobilizuje „Mazowsze", Bydgoszcz, Pomorze Zachodnie i częściowo Gdańsk — 403 głosy. Wariant IV — 361 głosów. Widownia nie wytrzymuje napięcia, klaszcze, spiera się między sobą. Dogrywka jutro. Kolejne głosowanie: czy przewodniczący Zjazdu Regionu może być członkiem Prezydium? — Zdecydowanie nie — 594 delegatów. W tym momencie Lech Wałęsa rzuca mandat i wychodzi z sali. Sala obrad i kultury zamieniają się w grecką agorę. Wszędzie potworzyły się grupy i grupki, delegaci, goście nawet porządkowi namiętnie się spierają czy to dobrze, że przewodniczący nie wejdą do Prezydium.

— Kto tam zasiądzie będzie nikim, nie mając za sobą regionu — delegat.

— Muszę zapomnieć o regionie, będę realizować interesy całego związku — delegatka.

— Wałęsie doda się Gwiazdę... — porządkowy.

— Wie pan co będzie się działo w Gdańsku? Region jest rozbity. Jedni za Wałęsą, drudzy za Gwiazdą — gość Zjazdu.

— No to Rulewski... — porządkowy.

— Rulewski jest odważny, ale nie potrafi zadziałać koncepcyjnie, lepszy jest Modzelewski — delegat.

— Tutaj niektórzy chcieliby związek zamienić w swoją własność — delegat.

— Musi być silna władza... — delegat.

— I będzie tak samo jak w PZPR — gość Zjazdu.

— Silny przywódca do dyktatura — gość Zjazdu.

Jeszcze tego dnia rozpala ludzi sprawa zapisu Statusu prasy związkowej. Widać ze strony niektórych działaczy zakusy, by całkowicie podporządkować ją Zarządom. Deliberacje trwają prawie do 01.00 w nocy. Najdłuższy maraton Zjazdu.

VI — Dwa lata dyktatury.

Wałęsa wyłożył w ostatnim dniu Zjazdu karty na stół: — Władza wykonawcza i zarządzająca musi być błyskawiczna i silna — wygłasza expose — Nie będę Jabłońskim, który przyjmuje delegacje. Ja wiem, że to nie jest demokratyczne, ale teraz potrzebna jest dyktatura. Zapiszę się tylko na wygraną. Na przegraną — nie!

Otóż rano wpłynął wniosek, anonimowy, by ponownie rozpatrzyć przegłosowane wczoraj poprawki. Zmiany miałyby pójść w kierunku jeszcze dalej posuniętej decentralizacji związku. Wałęsa wpadł po tym wniosku w furię. Zagroził, że ujawni zakulisowe gierki, jeśli różni panowie nie przestaną manipulować. Kuluary huczą. Gwiazda dowcipkuje: — Ja tu prawie jak gość, tylko mandat podnoszę i opuszczam. Co zgłoszę się do dyskusji, to zaraz ją zamykają. Pozostali delegaci są zdezorientowani:

Aleksander Labuda: — Powstanie zinstytucjonowana tyrania. Wałęsa zrobi z urzędników lokai.

— Każda władza uderza do głowy, a ta nie będzie miała żadnej kontroli — gość Zjazdu.

— Wałęsa ma zwierzęcy instynkt do machinacji, trzeba go odbrązowić, żeby Gwiazda chciał powiedzieć, co o nim wie... — delegat, z zawodu psycholog. Ryszard Kustra: — „Komuna Paryska" to by Wałęsę w Bałtyku utopiła.

Głosowanie: wynik po myśli Wałęsy. Przy pomocy demokracji ukręcono łeb demokracji — albo... manipulacji?

Mementol

Po konferencji prasowej delegaci sadowią się w autobusach. W „Mazowieckim" kilka osób zastanawia się, jak brzmi ten wariant, na który głosowały. Kierowca włącza radio. Głos spikera „...do głosu doszły siły ekstremistyczne [...] Zjazd zamienił się w antysocjalistyczne i w antyradzieckie Bachanalia" — przywraca mnie realnemu światu. Grzebię w gęsto zapisanym notesie. Kartka otwiera się na dzisiejszej konferencji z udziałem Wałęsy. Przed oczyma staje mi ogorzały, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce. Wszedł na salę, gdyż porządkowi już nie bronią wstępu. Stanął przed mikrofonem.

— Nazywam się Rutkowski. Jestem pracownikiem stoczni na W-3. Chciałem przekazać życzenia od szarych związkowców dla delegatów. Życzymy wszystkim delegatom, aby zawsze i o każdej porze dnia i nocy, na zabawie czy w kinie, nie zapomnieli o dołach, bo doły jeżeli zobaczą nieuczciwość u góry, to rozbiją wszystko w minutę. Pamiętajcie: doły to potęga!

ADAM JERZY SOCHA

LISTY ZZA RZEKI

sposób na sposób

Szanowny Panie Stanisławie. Cieszę się z powodzenia, jakie miała dyskusja na temat kultury politycznej, zorganizowana przez Waszą redakcję w ostatni piątek sierpnia. Wiem, że zaproszeni goście salę kinową zapełnili przynajmniej w połowie dla „Człowieka z żelaza", ale to tylko połowa kilkuset osób. Gratuluję więc pomysłu i sposobu jego realizacji.

Właśnie o sposobie w dzisiejszym liście chciałbym kilka uwag napisać. Zacznę od tego, że pod tytułem wzmiankowanego panelu (niech będzie to modne słówko, skoro dyskusja tak się nam już na miał utarła) były „Sposoby odchodzenia". Oczywiście nie od kochanki, żony, jak mówią słowa przedwojennego szlagieru, ale odchodzenia ze stanowisk. Myślę, że opublikuje Pan co ciekawsze wypowiedzi, bo kilka z nich i diagnozy, i recepty ciekawe zawierało, więc nie będę ich streszczał.

Pierwsze o sposobie powiedzieć można, że waży on na tym, co za jego pomocą jest wyrażone, sprawiane, budowane. I tu, w ów sierpniowy, deszczowy wieczór ujęty byłem sposobem prowadzenia imprezy, a nawet więcej — sposobem budowania jej głównego wyrazu, dzięki czemu najważniejsza stała się sprawa, idea spotkania, jego temat. Ważni byli uczestnicy, czyli wszyscy zgromadzeni dobrowolnie ludzie. Kolejny szczebel ważności zajmowali prowadzący i zagajający dyskusję specjaliści. Najmniej ważni, przynajmniej optycznie, byli organizatorzy. Zupełnie przeciwnie, niż podczas wielu innych, łomżyńskich (i nie tylko) imprez.

Drugą odmianę ujawniania wpływu wyrażania na to, co się wyraża zaprezentował nam Jerzy Urban w pierwszym wrześniowym numerze „Szpilek". Jak wiadomo, ten czołowy szyderca, wyspecjalizowany w ośmieszaniu moralnej zaściankowości, wycwanionej głupoty i lumpendrobnomieszczucha, lubujący się w przedrzeźnianiu łamańców wykonywanych często przez przedstawicieli władzy; ten budzący skrajne uczucia i oceny pisarz został powołany na stanowisko rzecznika prasowego rządu. Jak za karę. Pytanie tylko — dla kogo. Mniej to jednak ważne, bo rzecz przecież o sposobie. Przypadek (ale już nie cassus) J. Urbana rodzi różne domysły: czy on na pensję rządową poszedł bardziej z „Polityką" czy ze „Szpilek" (inne, uprawiane przezeń grządki niech zostaną w cieniu kulis), o czym będzie pisał i gdzie publikował? Rzecznik sądu powinien chyba tylko w rządowej „Rzeczypospolitej", ale wówczas — co się stanie ze zjadliwą impertynencją jowialnego pana?

Jerzy Urban jednak, jakby dając wyraz poczuciu niestałości wysokich stanowisk i trochę chcąc w nas wmówić, że niby nic się nie zmieniło drukuje nadal w „Polityce" i „Szpilkach". W tych ostatnich, z 6 września, w felietonie „Sobota" znajduję taki fragment: *„[...] od wielu miesięcy rząd słyszy ciągle: oddajcie kawałek władzy, a będzie zaraz świetnie. Zarejestrujcie »Solidarność« a natychmiast wszyscy ruszą do roboty. Zgódźcie się na wolne soboty, a zaraz wydajność pracy wzrośnie. Zarejestrujcie »Solidarność Wiejską«, a jutro Polska będzie rajem na ziemi. Jednakże żądania owe są spełnione, władza państwa się kurczy, jest zaś coraz gorzej... Kto rozlicza »Solidarność« z niespełnionych obietnic? Nikt. Słyszymy natomiast ciągle, że wszyscy »prości» Polacy cudownie pracują, ale nic z tego nie wychodzi, gdyż jeszcze kawałek władzy jest w ręku państwa"*.

Ano właśnie, bieduleńka taka ta władza, zaskakiwana przez przebiegłych i cynicznych macherów. Kto tu rżnie dziewicę (rżnie, w znaczeniu: gra ze zbytnim rozmachem), Jerzy Urban czy rząd. A może autor w imieniu mecenasa? Cała rzecz w sposobie nakłaniania czytelnika, aby współczuł z władzą, czyli państwem. A w ostateczności z kim? Komu? Własnej, czy może tej drugiej połowie Polski? Zresztą, i tak wszystko zależy od kierunku, sposobu przepoławiania, dzielenia kraju. Jesteśmy przecież bez przerwy poddawani rozlicznym operacjom ćwiartowania, siekania, nacinania. I to bez znieczulenia. Poczynając od bzdur, takich jak sprzedaż na kartki sucharów jako słodyczy czekoladowych, przez ułatwienie nielegalności (łomżynianie mogli np. kupować wódkę na różne kupony kartkowe w warszawskim, ostrołęckim i na oddzielne kartki u siebie), aż do stransmitowanej w kolorze eksmisji PRiTV ze zjazdu „Solidarności". Zabiegi te idą w tysiące i chyba tylko dzięki ich wzajemnym, wygłuszającym działaniom żyjemy jeszcze. Ale to nie powód do melodramatu i już raczej zgadzam się z tym, co pisze J. Urban na zakończenie felietonu: *„Kiedyś w podręcznikach historii masy upadłościowej pod nazwą Polska wnukowie przeczytają, że na początku lat osiemdziesiątych rozegrała się w Polsce ostra walka o władzę, ukryta pod najrozmaitszymi pozorami, i że koszty tej walki były o wiele większe niż warta jest jakakolwiek władza. Dla kogokolwiek"*. Jednak kasandryczny ton nie spłukuje do czysta mydełka ckliwości, bo przecież wszyscy wiemy, że dla wielu ta właśnie władza warta jest o wiele więcej niż koszty walki o nią. W tygodniku można mieć złudzenie, w praktyce walki o życie — nie.

U nas, za rzeką, w tej sprawie panuje dość zgodny pogląd, Że lepsza stara władza. Szczególnie teraz, kiedy otrzymała niezłą szkołę uświadamiania, czyją i dla kogo jest władzą. Lepsza taka, niż nawet najlepiej się zapowiadająca nowa. Bo ile lat będzie trwało przyuczanie się nowych ludzi do władzy? A czy to jacyś inni, lepsi ludzie? Nieufność budzi młody wiek najaktywniejszych bojowników o nowe. Tutaj pamięta się jeszcze tak samo młodych, wymiatających ziarno ze strychów, wypędzających przy tym wcale nie gołosłowne pogróżki.

Myślę, że w tej powściągliwości jest też nieuświadomiona obawa przed nieznanym. Nie wiadomo, co zrobią, jak będą działali ludzie ukształtowani (mimo wszystko w sposób widoczny) na pozorach nowoczesności, dobrobytu, ideowości; na tym wszystkim, co tak sztucznie zakwitło nam na początku lat siedemdziesiątych. I dlatego także na żadne radykalne rozwiązania nie mogą liczyć tak głośni i bujnie plewiący się ekstremiści.

Ludzie w zagrożeniu garną się ku sobie, skupiają się, dążą do centrum. Jeśli takie istnieje. Nie pierwszy raz ratunek Polska znaleźć może w „konserwatystach". Parokrotnie jednak było inaczej i kończyło się źle.

Pozdrawiam, optymistycznie na swój sposób.

HENRYK GAŁA

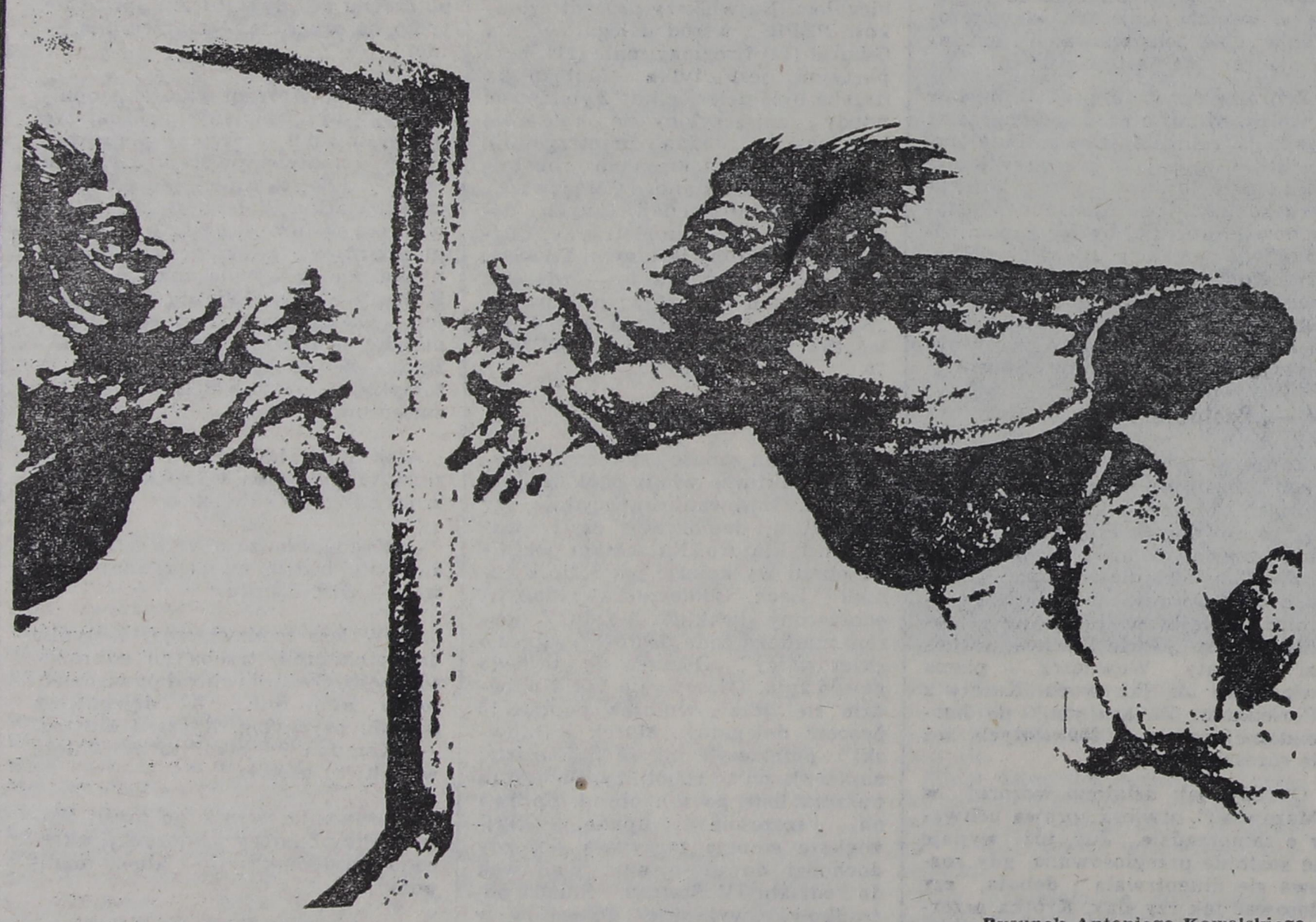

Rysunek Antoniego Kowalskiego

reflekcje

NA PIĘCIOLINII

powrót

Janka Muzykanta

Każdy obywatel naszego kraju pamięta doskonale z jaką euforią przedstawiano onegdaj w środkach masowego przekazu polski boom elektroniczny. Zegarki, kalkulatory, do niczego nie służące cudeńka, a nade wszystko domowy sprzęt odtwarzający, a więc radia, adaptery i magnetofony różnego kalibru. Masowe ukulturalnianie społeczeństwa, które — jak wiemy — okazało się czczym gadaniem, miało mieć w tych dobrach wielkiego orędownika. Reprodukcja, czyli muzyka utrwalona na płycie, powinna stać się gościem w każdym domu i uzupełnieniem prawdziwej sztuki, wdychanej na żywo w salach koncertowych i usytuowanych nawet w miastach — oczywiście w wykonaniu orkiestr w siedzibach nowych województw. Zachłysnęliśmy się boomem elektronicznym (jak i wieloma innymi, wmawianymi nam zwłaszcza przez telewizję), ale nadszedł czas opamiętania i sytuacja wróciła do normy. Nie mam zamiaru potępiać poprzedniej ekipy za produkcję domowej aparatury stereofonicznej, ale — wprost przeciwnie — za niezaspokojone, a mocno rozbudzone apetyty, owszem. Na rynku zawsze brakowało odbiorników radiowych i adapterów, chociaż w TV widzieliśmy nadal panie, które delikatnymi łapeczkami nawijały cewki. Telewizja nawijała głodne kawałki, ja zaś na adapter polować musiałem prawie dwa lata.

No dobrze, ekipa była — minęła i oto znowu z małego ekranu mówią do mnie poważni panowie o kolejnym sukcesie polskiej myśli technicznej, czyli zestawie nagłaśniającym typu „wieża" — gdzieś tam, czymś tam nagrodzonym. Nie wiem, czym i gdzie, wiedzieć nie chcę, bo z tego i tak nic nie wynika. Nawet to, że coś takiego kupię w ciągu najbliższych lat, choćbym opijał sprawę rocznym przydziałem na alkohol, opalał kuponami na papierosy i uwiódł dwie trzecie personelu sklepów ZURiT, bez względu na płeć. Po prostu nie ma najmniejszych szans, że te cuda wejdą do seryjnej produkcji, a jeśli nawet, to i Pan Bóg razem z „Solidarnością" nie sprawią, iż znajdą się one na naszych półkach.

Ale załóżmy, że siły nadprzyrodzone zasypią nam jednak sklepy rewelacyjnymi adapterami i magnetofonami. Cóż się wówczas stanie: ano nic, sytuacja utrzyma się w normie z powodu braku płyt, kaset i taśm magnetofonowych. Ludzie dostają już amoku, bo gdy nie ma co jeść można posłuchać muzyki i robi się nieco lepiej. Pisałem już, jak to wykupywano taśmy z kabaretem Laskowika po 200 zł, żeby następnie nagrać na nich „Słońce Jamajki". Otóż na zakup z zagranicy nie mamy pieniędzy, zaś nasza produkcja musi stanąć z powodu braku zagranicznych komponentów. Rząd broni się przed ewentualnym strajkiem pracowników radia i telewizji, ale nie wspomina o tym, że w magazynach rozgłośni radiowych kończy się zapas taśm i nie widać najmniejszych szans na uzupełnienie go, gdyż sytuacja wygląda identycznie — jak wyżej. Produkcja krajowej, grubej, przystosowanej do szybkich obrotów taśmy radiowej została zatrzymana. BASF trzeba kupować za dolary. AGFA także chce w zielonych. Telewizja zaczyna robić się — z tych samych powodów — czarno-biała, chociaż produkujemy drogie telewizory kolorowe, które mają kosztować prawdopodobnie prawie tyle, co mały „Fiat".

Oczyma wyobraźni widzę, jak zacierają ręce z radości krytycy, przeciwnicy muzyki w konserwie, czyli reprodukcji. Ale — panowie — spokojnie, kilka tysięcy polskich muzyków bądź już wyjechało zarabiać dolary, bądź żegna się z rodziną przed otrzymaniem paszportu i w taki to sposób wrócimy znowu do epoki Janka-muzykanta. Ale fletów prostych również brak!

JAN JANUSZEK

pole pełne wideł

Jestem pod wrażeniem artykułu redaktora Stanisława Zielińskiego — „Pole pełne wideł", opublikowanego w „Kontaktach" z 2 VIII 1981 r. Wydaje mi się, że jest to wypracowanie rzeczywiście stawiające jeszcze jedne widły, bardzo zresztą ładne, z lakierowanym trzonkiem; który zdaje się być istotniejszy niż same widły. Redaktor Zieliński wymachuje tym trzonkiem w lewo i w prawo, używa go jako wskazówki, podpórki dla opinii przypisywanych członkom ZSMP, a i niejednemu z nich najchętniej dałby tym trzonkiem po plecach. Zazdroszczę tej zręczności w ubieraniu myśli. Obraz całości jest jednak zniekształcony.

Zgadzam się z ogólną oceną sytuacji na wsi i obstawaniem po stronie godności chłopa. Jasne jest dla mnie wezwanie do „tworzenia prawdziwego frontu naprawy Wiejskiej Rzeczypospolitej". W część propagandową artykułu może ubrać się chyba każdy członek ZMW i ZSMP. Wieś jest jedna i realia w niej takie same, bez względu na to, czy działa tam ZMW, czy ZSMP. Jeśli nawet któraś z organizacji nie ma zapisanych w programie jakichś poczynań, to i tak, o ile funkcjonuje dobrze, wypełnia je, ponieważ naturalne potrzeby środowisk nie muszą być podejmowane w sposób sztuczny, hasłowy. Wręcz przeciwnie, problemy same ustalają program.

Redaktor Zieliński pisze, że „młody człowiek staje dziś przed autentycznym problemem wyboru. Wartość ta stanowi jedno z większych osiągnięć w ruchu młodzieżowym". Oczywiście, możliwość wyboru stanowi sama w sobie wartość, ale czy sam wybór jest problemem autentycznym, zwłaszcza między organizacjami takimi jak ZSMP i ZMW? Są to orgaizacje programowo bardzo spójne. Jeśli występują różnice, to jedynie w sposobach realizacji programu, może w taktyce i to w praktyce życia organizacyjnego, stanowiące raczej część teoretyczną. Życie jest życiem i wystawia wspólne mianowniki, którymi są między innymi: skuteczność, racjonalność, konstruktywność, jasność poczynań i celów. Co może być prawdziwym motywem wyboru? Chyba to, że co nowe, to ciekawe, bo jeszcze nie sprawdzone w określonych warunkach. Jest to chyba zasadniczy, ale nie programowy, tylko psychologiczny, motyw wyboru.

Znam materiały z konferencji ideologicznej byłego ZMW, organizacji, w której rozpoczynałem swoją edukację społeczno-polityczną. Powiem szczerze, że organizacja ta miała takie same problemy jak ZSMP, była również monopolistą w określonym środowisku. Łączyła interesy młodzieży pracującej w przemyśle i administracji, młodzieży uczącej się i autentycznie wiejskiej. Autorytet organizacji zależał zawsze od tego, co robiła w kole, a nie od tego, co robiła jako całość. Myślę, że takie kryterium obowiązuje nadal. Moim zdaniem — zasadniczym celem organizacji młodzieżowej jest wzbudzanie wrażliwości na sprawy społeczne u ludzi młodych (w tym sensie jest ona wychowawcza), i jeśli stają się oni aktywni społecznie, jest to zasługą organizacji, z której się wywodzą.

Przez podejmowanie spraw istotnych ze społecznego punktu widzenia tworzy się front, który w tym przypadku jest wspólny dla ZSMP i ZMW, i to na tyle wspólny, że organizacje te nie uzupełniają się, ale myślą, robią dokładnie to samo. Może ktoś mi powie, czym się różnimy w kole? Moi dwaj koledzy, byli członkowie ZSMP, wstąpili do ZMW. Nie robimy z tego tragedii. Nadal w poglądach niewiele chyba się różnimy, wprawdzie rzadziej rozmawiamy, bo okazji jest mniej, ale widzenie spraw zasadniczych mamy takie same. Oni też utworzyli dwa koła ZMW. W jednym przypadku znam szczere wyznanie: „W samym kole niewiele mogę zrobić. Sam za wszystkich nie wyrobię autorytetu dla koła. Koledzy raczej czekają na gotowe Działaczem to ja jestem dopiero na szczeblu wojewódzkim i centralnym, bo tam zostałem zauważony, a tutaj, na miejscu, żeby coś móc, to przede wszystkim trzeba się pokazać chociażby jednostce Ochotniczej Straży Pożarnej".

Spontaniczność na szczeblu wojewódzkim nie oznacza spontaniczności ruchu zetemwuowskiego, a życzę jej wszystkim organizacjom postępowym, w tym i mojemu ZSMP.

W artykule Stanisława Zielińskiego niepokoi mnie szczególnie jego subiektywny i stronniczy stosunek do całego problemu. Odnoszę wrażenie, że redaktor Zieliński jest rzecznikiem prasowym ZMW. Jeśli tak, to niechże pod nazwiskiem zamieszcza funkcję propagandysty tej organizacji, wówczas jego publikacje ruchu młodzieżowego jako całością będą mniej szkodliwe dla innych organizacji, bo jasne jest, że reprezentuje on wyłącznie interes ZMW, a ściślej: niektórych kolegów widzących szybki rozwój tej organizacji wszelkimi kosztami, nawet kosztem rzeczywistych interesów młodzieży wiejskiej.

W ZSMP naprawdę nikt nie uważa, że ziemia należąca do chłopa nie jest jego własnością, a wręcz odwrotnie: wszelkie nasze działania potwierdzają tezę przeciwną. Nie kłóćmy się też o hasła, bo akurat wymieniane przez redaktora Zielińskiego są własnością kilku organizacji, a zresztą nie hasła są najważniejsze.

Przewodniczący ZM ZSMP, używając słów: „Widziałbym", „Chciałbym, żeby" — reprezentował wyłącznie swój osobisty punkt widzenia, a na taki każdy może sobie pozwolić. Inne opinie przytaczane przez redaktora Zielińskiego są naprawde nikomu niepotrzebne, stąd chyba i jego pytanie o potrzeby w tym zakresie jest retoryczne.

Myślę, że naprawdę nie ma sensu wyrywać z bruków ostatnich kamieni, by je ciskać w siebie. Rzekome problemy, które pasjonują redaktora Zielińskiego (ale i nie tylko jego), w gruncie rzeczy są pozorne i odwracają tylko uwagę od spraw rzeczywiście istotnych, co on dokładnie rozumie i daje temu wyraz w ostatnich zdaniach artykułu. Po co więc ta rękawica leży na ziemi? Podnieśmy ją wspólnie!

Marek Skarżyński
ZSMP
Wysokie Mazowieckie

Zmuszony jestem podziękować za jeszcze jedne, kolorowe widły, i to — czego dotychczas nie było — z lakierowanym trzonkiem. Może godniejszym ich adresatem byłaby „Cepelia"?

Posądza mnie Pan o stronniczość, zapominając o swoim subiektywizmie. Moja funkcja w ZW ZMW, pełniona społecznie, nie jest taka istotna, jak Pańska — etatowego przewodniczącego Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP w Wysokiem Mazowieckiem. Uczciwość nakazuje wymienić ją obok swego nazwiska.

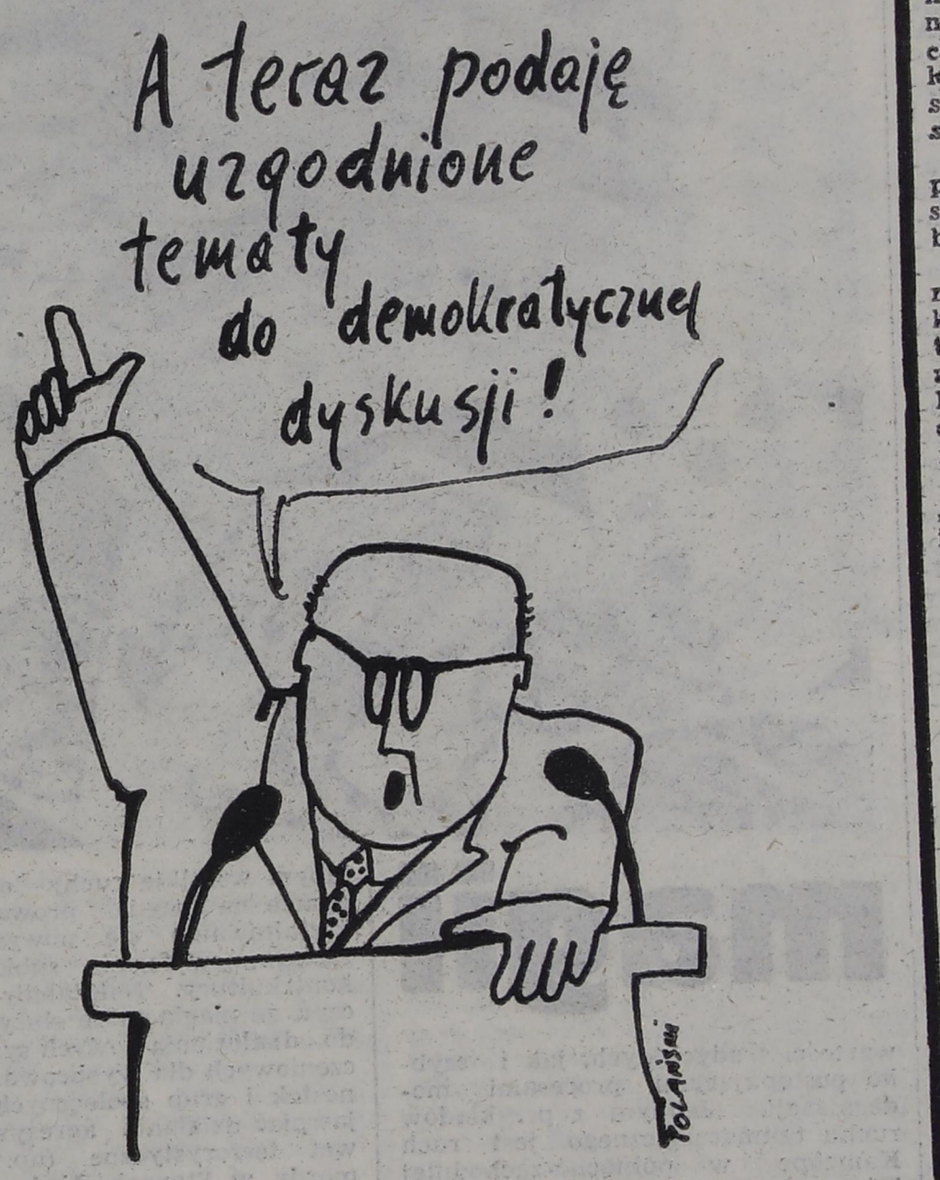

Rysunek Marka Polańskiego

Jestem Panu winien propagandowe uznanie. Gdyby Pański list był ciut dłuższy, z pewnością sprecyzowałby to moje „machanie trzonkiem w lewo i w prawo" jako zapędy bojówkarskie. Tak naprawdę: dysponowanie moim trzonkiem jest moją sprawą.

Zarzuca mi Pan, że ubrałem się w hasła. Jeśli tak określa Pan np. moją obronę chłopa przed posądzeniem go o marnowanie chleba czy podane przykłady deficytu najbardziej elementarnych artykułów w wiejskich sklepach, to ja pozwolę sobie Pana zapytać, jakimi wiejskimi sprawami zajmuje się obecnie w wysokomazowieckiej gminie ZSMP-organizacja, której Pan przewodniczy?

Mam nadzieję, że Pański list nie zamknie wymiany poglądów na temat miejsca organizacji młodzieżowej w życiu dzisiejszej łomżyńskiej wsi.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

że w drodze postępowania cywilnego może dochodzić swoich roszczeń do spadku po zmarłej matce.

Mgr Stanisław Paszkowski
Podprokurator

*

Jestem oburzona notatką, która ukazała się w Waszym piśmie nr 31/58 w rubryce „Spięcia", a dotyczącą sprawy sprzedaży węgla pani Walerii Piotrowskiej z Wizny. Oburzenie moje jest uzasadnione, gdyż autor notatki nie podał prawdziwych faktów, które miały miejsce w trakcie wykupowania węgla przez rolników.

Po pierwsze. W kolejce nie było trzynastu klientów tylko kilkudziesięciu, którzy kłębili się przed okienkiem kasowym.

Po drugie. Nie ja wypisywałam kwity, lecz tylko pomagałam wyszukiwać karty rolników w kartotece, a fakturowaniem zajmowała się inna osoba.

Po trzecie. Wcale nie jestem winna, że dostawy węgla są tak małe i nie zaspokajają potrzeb wszystkich chętnych. Stąd każdy stojący w kolejce może mieć pretensje do wypisującego kwity, że akurat on nie dostał przydziału.

Po czwarte. Na wniesione przez panią Piotrowską uwagi o kumoterskiej sprzedaży odpowiedziałam, żeby przestała się czepiać.

Po piąte. Nie mogłam pokazać pani Piotrowskiej tyłka, ponieważ okienko kasowe jest bardzo małe i trzeba by było wspinać się na stół, aby umieścić w okienku swój tyłek. Poza tym już jestem zbyt starą pracownicą na to, aby w taki sposób reagować na zarzuty klientów.

Sądzę, że Redakcja na łamach „Kontaktów" zamieści sprostowanie i przeprosi mnie za wyrządzoną krzywdę moralną.

Jadwiga Domalewska
Wizna

OD REDAKCJI: Jeżeli poczuła się Pani tak bardzo dotknięta przepraszamy, nie to było naszym zamiarem. Na przyszłość życzymy choć trochę więcej poczucia humoru — nie tylko w obcowaniu z klientami.

*

Uprzejmie informuję, że Prokurator Rejonowy w Łomży skierował do Sądu Rejonowego akt oskarżenia przeciwko Bożenie Ewie Grodzkiej, która w okresie od 21 maja 1980 r. do 21 kwietnia 1981 r. jako kierowniczka Punktu Sprzedaży Pomocniczej w Jakaci Starej podległego Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Śniadowie woj. Łomża spowodowała niedobór towarów na kwotę 112.000 złotych, a także dopuściła się do zniszczenia bądź zepsucia artykułów spożywczych na kwotę 29.061 złotych.

W toku postępowania karnego ustalono, że sklepowa artykuły spożywcze przechowywała w pomieszczeniu przeznaczonym na opał. Między innymi uległo zniszczeniu 1390 sztuk torebek z zawartością koncentratów do zup, 130 kg cukierków, 205 kostek margaryny, 145 kg słoniny, 6 kg ciastek biszkoptowych i inne. Towary te zanim uległy zniszczeniu nie były wystawione do sprzedaży dla miejscowej ludności mimo dużego popytu na nie i znanych braków na rynku.

Na marginesie tej sprawy nasuwa się następująca uwaga — jak długo jeszcze za niedbalstwo lub złą wolę osób odpowiedzialnych za magazynowanie żywności i jej sprzedaż konsekwencje ma ponosić całe społeczeństwo? Gdzie są i co robią organa kontroli wewnętrznej tych przedsiębiorstw, a także społecznej np. komitety sklepowe?

Mgr Jerzy Kubrak
Prokurator wojewódzki

OD REDAKCJI: Dla przypomnienia — o sprawie pisaliśmy w numerze 22/49 („Marmolada na sedesie"), zadając również tego typu pytania. Niestety do dziś nie wiemy jakie wnioski z całej tej sprawy wyciągnęła np. Gminna Spółdzielnia w Śniadowie, czy też jej szefostwo — WZSR.

lektura w kręgu magii

Zainteresowania pisma problemami magii, czego wyrazem są „Pokusy" oraz organizacja muzeum „Straszydeł", demonów i nieśmiertelności", skłaniają również do śledzenia publikacji na ten temat w innych czasopismach. Poniżej prezentujemy fragmenty szkicu socjologicznego Anny Mrozek-Dumanowskiej zamieszczonego w kwartalniku „Kultura i społeczeństwo", Tom XXIV nr 3—4, który dotarł na rynek czytelniczy z dużym opóźnieniem.

Na przestrzeni ostatnich kilku lat jesteśmy świadkami rozszerzającego się zainteresowania praktykami okultystycznymi i magicznymi w krajach europejskich, a także wzrostu liczby adeptów wiedzy ezoterycznej. Zainteresowanie problematyką magii znajduje swoje odbicie nie tylko w narastającej liczbie opracowań naukowych i popularnonaukowych poświęconych temu zagadnieniu, ale także w literaturze i sztuce, między innymi w filmach zachodnioeuropejskich, docierających również do Polski.

U. Metzger — konstatując wzrost zainteresowania czarami, przesądami, magią i okultyzmem w kręgach społeczeństwa RFN w ostatnich latach — wskazuje równocześnie na niezwykłą popularność filmów R. Polańskiego, na tym samym gruncie podejmujących tę właśnie problematykę. Na podobny wzrost zainteresowań tą samą problematyką, również na przestrzeni ostatnich lat, tym razem na terenie Francji, wskazują prace L. Defrance i E. A. Tiryakiana. Na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie zasięg oddziaływania praktyk okultystycznych i magicznych zatacza jeszcze szersze kręgi niż w krajach Europy zachodniej, problematyka okultyzmu wkracza szeroko do środków masowego przekazu, a nierzadko przybiera formy komercjalne. Na łamach prasy amerykańskiej ukazują się regularnie ogłoszenia różnych ugrupowań okultystycznych, oferujących swym klientom przekaz mocy, która emanować będzie w rodzinie, w miejscu pracy, w klubie zainteresowanego. Te same inseraty oferują pomoc w trudnościach życiowych, a także usługi duchów magicznych w domu, w pracy itp. Również na terenie Stanów Zjednoczonych działają liczne sklepy specjalistyczne, oferujące utensylia do praktyk magicznych, jak na przykład czarne świece, proszki przysparzające pieniędzy (money — come powder) itp.

Ucieczka do Madame Soleil

Postawy eskapiczne są rezultatem lęku, izolacji i dezorientacji jednostek w okresie przyśpieszonych procesów modernizacji. Oderwani od swych środowisk naturalnych migranci — przybywający do miast w poszukiwaniu pracy, izolowani i zagubieni w dużych skupiskach ludzkich — często szukają schronienia w magii.

I tak, na przykład, w miejskich ośrodkach afrykańskich do magii uciekają się jednostki, którym się powiodło, którzy znaleźli pracę. Opłacają oni często u czarowników miejskich amulety, mające zapewnić nie tylko utrzymanie dobrych stosunków ze zwierzchnikiem, ale także ochronić przed magią współplemieńców, a nawet członków rodziny przed uwarunkowaną zawiścią. Do magii uciekają się również ci przybysze do miast afrykańskich, którym się nie powiodło. Mają oni nadzieję osiągnąć ten cel przy pomocy magii.

Madame Soleil we Francji jest powszechnie akceptowanym autorytetm w zakresie astrologii. Według opinii C. Fischlera: „Madame Soleil, działająca za pośrednictwem środków masowego przekazu, nie tyle przepowiada przyszłość, ile przynosi ulgę, opatrując rany przez współczesną cywilizację miejsko-technologiczną".

We wszystkich tych zabiegach opartych na magii ujawnia się postawa eskapizmu: odwrócenia się od rzeczywistych przyczyn niekorzystnych zjawisk życia społecznego i szukanie schronienia, pociechy, a nawet środków zaradczych w kręgu magii. W Europie zwolenników magii zalicza się do kręgu marginesu społecznego. Ale w świetle informacji C. Fischlera, że u Madame Soleil zabiegają o konsultacje nie tylko ludzie najbiedniejsi oraz właściciele drobnych przedsiębiorstw produkcyjnych czy sklepów, ale również ludzie na odpowiedzialnych stanowiskach, zasięgający rady autorytetu w zakresie astrologii przed podejmowaniem decyzji, opinia ta wydaje się co najmniej przesadzona.

W przeciwieństwie do jednostkowych, indywidualnych ucieczek do magii, jakie można zaobserwować głównie wśród ludności miejskiej, postawa poszukująca — innowacyjna właściwa jest całym grupom społecznym szukającym oparcia w magii.

Wiara w siłę ducha

Na gruncie krajów Trzeciego Świata ruchy taumaturgiczne (taumaturgia wg B.R. Wilsona — to „wiara i oczekiwanie na nadnaturalny kontakt z manifestacją siły, która ma wywrzeć natychmiastowy skutek dla osoby zainteresowanej"), stanowią często formę ekspresji wzrastających napięć społecznych, uwarunkowanych tak kryzysem wartości tradycyjnych, jak i szybko postępującymi procesami modernizacji. Jednym z przykładów ruchu taumaturgicznego jest ruch Kamcope w północno-zachodniej Tanzanii. U podstaw tego ruchu leżał konflikt pokoleń (liczny udział młodzieży), konflikt ekonomiczno-polityczny, a także reakcja na wpływy chrześcijańskich misji europejskich. Według opinii R.G. Willisa, autora opracowania poświęconego temu ruchowi: „Ruch Fipa wyraża tęsknotę za harmonią, która panowała w przeszłości, ale wyrasta on równocześnie w sytuacji zachwiania starego porządku i jest raczej poszukiwaniem rozwiązania niż samym rozwiązaniem".

Na gruncie europejskich przykładem ruchów poszukiwawczych i innowacyjnych są kulty i praktyki magiczne grup mniejszości narodowej, głównie pochodzenia pozaeuropejskiego. Należy do nich między innymi, kult Hau-Bong utworzony przez uchodźców wietnamskich we Francji. Ważną częścią składową tego kultu jest rytuał posiadania przez ruchy, jednoczący całą grupę. Wydaje się, że nowe kulty grup mniejszości narodowych w Europie — urodzone w odmiennych warunkach życia i na nowym terenie — łączą elementy wiary tradycyjnej z nowymi opierającymi się na magii, i mają na celu zachowanie spoistości grupy, a nierzadko — obronę jej interesów socjalnych. [...]

Zło silniejsze od dobra

W krajach Trzeciego Świata do ruchów protestu społecznego, opierających się na magii, zaliczyłabym głównie właśnie kulty duchów peryferyjnych, to jest stojących na zewnątrz ustalonego porządku. Peryferyjne kulty posiadania występują bez mała we wszystkich obszarach państw Trzeciego Świata i stanowią formy protestu: kobiet przeciwko dominacji mężczyzn, mniejszości przeciwko dominacji grupy panującej, biednych przeciwko bogatym. Według opinii F. Schott-Billmanna, peryferyjny kult posiadania jest zawsze kultem warstw uciskanych. Jest on często furtką, szczeliną, która pozwala na ujawnienie nastrojów i napięć ludzi marginesu, ludzi najniżej osadzonych w hierarchii społecznej. Ci sami ludzie w akcie kultu posiadania, reinkarnując czczone bóstwo, uzyskują rangę społeczną i znaczenie, którego nie posiadają w życiu społecznym. Kult posiadania łączy w sobie aspekt kontestacji z zachowawczości. Kult ten rzadko kiedy łączony jest z polityką i nie powoduje realnych następstw w rzeczywistej pozycji i statusie społecznym swych wyznawców.

Na gruncie europejskim do ruchów protestu społecznego zaliczyłabym wszelkie ruchy odśrodkowe oparte na magii, prowadzące do kształtowania się nowych wzorów zachowań w formie subkultury lub kontrkultury. Należałoby tu zaznaczyć, że magia może służyć zarówno do odnalezienia nowych symboli znaczeniowych dla wyobcowanych jednostek i grup społecznych jak i ujawniać działania agresywne, a nawet terrorystyczne (np. rytualne mordy w Stanach Zjednoczonych).

W pierwszym przypadku mamy do czynienia z grupami społecznie izolowanymi, zdezorientowanymi i zagubionymi, które przy pomocy magii lub tylko jej elementów tworzą rodzaj kontrkultury. Nosicielami subkultury są — zdaniem cytowanego już G. Fischlera — kobiety i młodzież, które dopiero niedawno wyszły spod kontroli rodziny patriachalnej i wkraczają w nowoczesność w formie „klasy biosocjalnej".

„Młodzież — to pionierzy współczesności i barbarzyństwa — pisze C. Fischler. — Mniej związani niż dorośli z wartościami racjonalnymi i religijnymi są mniej odporni na wpływy astrologii i często wkraczają w rewolucję kulturalną, odrzucając zarazem: starą ideologię, religię, wartości racjonalne i humanitarne. Pół-kulturalni, pół-upolitycznieni, kobiety i młodzież po dotarciu do miast zajmują pozycję półobcych". [...]

Postawa skrajnego eskapizmu, wyrażająca się w postawach agresywnych, jest zdaniem Metzgera uwarunkowana w dużym stopniu permanentną frustracją grup subkulturowych. To ona właśnie mogła być bodźcem do uwolnienia się od stanu rezygnacji i wyzwolenia się z nastrojów nienawiści i chęci zemsty w stosunku do reszty społeczeństwa. Przypomina to ujawnienie się reakcji na pogardę społeczeństwa. W połączeniu z magią postawy skrajnego eskapizmu mogą ujawniać postawy sadystyczne i masochistyczne.

Jest to szczególnie wyraźne w działalności ugrupowania kultu szatana, założonego w San Francisko w roku 1965. Z wielu badań i testów przeprowadzonych w obrębie tej grupy wynika, że cechą najbardziej powszechną wśród wyznawców satanizmu jest wysoki stopień napięcia społecznego, wynikający z braku poczucia pewności i świadomości własnej bezradności. Z rodzin rozbitych, alkoholików itp. wywodzi się 85 proc. badanych. Ich życie dojrzałe nacechowane było niepowodzeniami w sprawach pracy, miłości i kontaktów społecznych. Przed przystąpieniem do grupy, jej członkowie mieli za sobą wiele niepowodzeń lub klęsk w życiu społecznym, co uwarunkowane było także ich zachowaniem odbiegającym od normy i izolacją społeczną. Artykułem wiary czcicieli szatana jest przekonanie, że zło jest silniejsze od dobra. Jest to równocześnie identyfikacja z opozycją zgodnie z etymologicznym znaczeniem słowa szatana. Kult sataniczny ożywia agresywność, nienawiść i okrucieństwo. W obrębie tego kultu można wreszcie z pełnym uzasadnieniem mówić o stosowaniu czarnej magii. [...]

Z magii pewność fałszywa

[...] Na zakończenie pragnę podjąć problem niejako centralny dla literatury poświęconej magii: wpływ magii lub — szerzej — kultów opierających się na magii na rozładowanie nastrojów napięcia społecznego.

W znakomitej większości prac funkcja ta jest potwierdzona i szeroko komentowana. W Krajach Trzeciego Świata — według C. Kluckhohna — magia zachowuje równowagę społeczną, gdyż stanowi ujście dla często długo tłumionych nastrojów nienawiści. Pogląd ten można zastosować również do społeczeństw europejskich.

Stanowisko to podkreśla D.M. Ugrinowicz, który stwierdza: „Magia rzeczywiście zmniejsza napięcie psychiczne, usuwa wewnętrzne konflikty, wzmaga poczucie pewności człowieka w wyniku jego działalności. Jednakże nie należy zapominać, że pewność którą magia pobudza, to pewność fałszywa, oparta na wierze w nadprzyrodzoność".

Ugrinowicz wskazuje tu na nieskuteczny, iluzoryczny charakter zabiegów magicznych. [...]

[...] Teza o korzystnych funkcjach magii w rozładowywaniu psychicznych stanów napięcia społecznego podważana jest jednak przez J.R. Crawforda, który twierdzi, że czary są nie tylko odbiciem choroby społecznej, ale stanowią również siłę dynamiczną. Precyzując koncepcję magii jako czynnika dynamicznego, Crawford wskazuje na możliwość wykorzystania tego zjawiska dla wciągnięcia całej społeczności do sprawy zjednoczenia opinii publicznej przeciwko sprawcy. W tym przypadku oskarżenie o czary jest środkiem kontroli opinii publicznej, będąc zarazem często środkiem walki o władzę. Tak więc mamy tu do czynienia z odwróceniem funkcji społecznych magii: od postaw eskapizmu lub protestu społecznego, jakie magia uruchamiała w przeszłości i uruchamia do dzisiaj, magia może także stanowić narzędzie dla systemu lub osób panujących, w celu umocnienia ich pozycji lub w walce o władzę. Nie sposób przy tym nie zauważyć, że mamy tu do czynienia z powtórzeniem zabiegu Kościoła katolickiego w okresie uruchomienia akcji przeciwko czarownicom.

Na te ukryte funkcje magii w okresie współczesnym wskazuje Metzger. Stwierdza on, że magia ukryta może być wykorzystana w tym celu, aby zmobilizować większość przeciw mniejszości lub przeciw domniemanym wichrzycielom. Przykładem takiego wykorzystania magii dla celów walki o władzę była „nagonka na czarownice", to jest na zwolenników komunizmu w Stanach Zjednoczonych w okresie władzy Mac Carty'ego w latach pięćdziesiątych.

Zapewne w ostatnim przypadku można mówić o magii pozornej, ponieważ brak jest tu elementów wiary w siły nadprzyrodzone; przejmowanie jednak zewnętrznych cech magii dla celów w istocie świeckich jest jeszcze jednym potwierdzeniem społecznego charakteru i funkcji magii, a także dowodem giętkości arsenału środków magicznych i chyba przejawem jej rozwoju.

Fot. CAF

czas jeszcze przed nami

Dawno już tak nie siedzieliśmy. Czas nie czeka. Upływa. Nie masz nawet zbyt dużo go na to, aby obejrzeć się za siebie. Możesz tylko patrzeć przed siebie...

Na ścianach fotografia z egzotycznym krajobrazem. Palmy, słońce i niebieskie morze. Nawet prezenter stoi na wysokości zadania i ze swej walizeczki wyciąga płytkę, której nie musi komentować. „Słońce Jamajki".

Kolorowy tłumek pęcznieje na parkiecie i faluje w rytmie muzyki. Dominuje sztuka w różnych kolorach i różnym wydaniu. Wiek? To jest najbardziej obojętne, ale chyba najwięcej w kieszeniach legitymacji szkolnych. Tylko skąd oni mają na to wszystko forsę? Światła migocą w takt muzyki. W opętańczym rytmie wszystko powoli traci swój rzeczywisty wymiar...

Czas... To jedyny, spokojny i obojętny towarzysz. Wciąż jest obok. Niezmierzony, wieczny, milczący tysiącami tych, co byli i tysiącami tych, co będą.

Tak, cmentarze robią jednak duże wrażenie. Wszyscy spokojnie gniją, rozpływają się w ziemi, a żeby nie było czuć zwykłego smrodu, to przykrywa się groby kwiatami. Tu wszyscy są dobrzy, kochani, tu wszyscy proszą o modlitwę. Czemu? Czyżby Bóg karał za dobroć, którą utrwalono na kamieniu? A może to jeszcze zwykły strach przed pamięcią ich czynów, która pozostała wśród żyjących?

Chwila odpoczynku. Prezenter opuścił swoją jaskinię i wszystko wróciło do normy.

Czerwona lampka na stoliku. Na wprost obca dziewczyna. Ładna. Duże oczy, długie, lekko falujące, ciemne włosy. Siedzi nad napojem, zaciągając się głęboko caro. Uśmiecha się lekko. O czym myśli? A może nie myśli wcale? Czytałem kiedyś o człowieku, który odbierał cudze myśli. Napierw „zasięg" jego odbioru był mały, a później zaczął się powiększać. Na koniec, od natłoku cudzych myśli, zwariował. Takie małe fantastyczne opowiadanko, a wcale nie głupie. Ale czy trzeba myśli innych, aby zwariować? Czasami wystarczą własne. Chociażby teraz!

Na wprost mnie ekran, na którym umieszczony za środkowym filarem rzutnik wyświetla kobiece „akty". Te „akty" to specjalnie w cudzysłowie. Brak w nich wszystkiego. Brak piękna, brak uczucia, brak chyba nawet zwykłego pożądania. Takie płaskie, bez wyrazu. Ciekawsza jest już chyba lekcja anatomii w prosektorium. Jedynie muzyka pozwala zapomnieć o wszystkim, albo inaczej: ona może nauczyć miłości do ludzi. Wtedy można krzyczeć, szaleć i płakać! „Oni" i tak tego wszystkiego nie rozumieją kręcąc się w kółko, ale ty możesz zapomnieć o wszystkim choć na moment.

Tylko jak już wszystko się skończy i znowu zostaniesz sam, ze swoimi myślami, to ta cisza dzwoniąca w uszach jest straszna, przejmująca, niemal bolesna. Wychodzisz z sali, idziesz ulicą. Po ulicy idą ludzie. Obcy ludzie, ze swoimi kłopotami, zmartwieniami, radościami. Idziesz i ty. Oni nic nie wiedzą. Nic ich to nie obchodzi. Próżnia. Właściwie próżnia nie jest najgorsza. To tylko stan zawieszenia. Taki sen bez snów. Najgorsze jest załamanie i ból zawodu. Nie znoszą, gdy drwię z nich, ale to nie ja drwię. Ja tylko jestem świadkiem ich czynów, postaw.

Kręcą się czarne krążki. Kręcą się w tańcu zapamiętałe pary. Kręcą, kręcą, kręcą... Taniec chocholą. Przebudzenia bywają różne. Mogą być takie zwykłe, codzienne...

Natrętny dzwonek budzika. Już? Co to było? Nie pamiętam, jeszcze chwila. Cholera! Okulary. To już nieodłączny rekwizyt.

Za oknem pojawiły się zgłodniałe mewy. Krążą białe i rozkrzyczane na tle szaroniebieskiego nieba.

Cztery dni temu, z tego nieba, tylko w innej części świata, przyszła śmierć. Amerykanie zbombardowali nasz statek i posłali go na dno. Trzech marynarzy poniosło śmierć. Trzeci oficer, mechanik i steward. Nie pamiętam nazwisk, nie znałem tych ludzi, nie wiem, czy płynęli do Wietnamu tylko dla pieniędzy, czy dla idei. Może po prostu dostali rozkaz. Ale czemu zginęli?! Czemu muszą ginąć! To śmieszne, ale chciałbym raz przeorać w dywanowym nalocie kilka amerykańskich miast, zedrzeć z tych opasłych twarzy i zaklejonych dolarami oczu ich snobizm i bezduszność.

Nigdy prawodobodobnie nie będę mógł tego wykonać i to jest straszne, że wobec tylu rzeczy jestem bezsilny. Nawet tysiąc takich jak ja jest po prostu niczym. Gdy staniemy się starsi, ten tysiąc będzie jeszcze słabszy. Będzie więcej krzyczał, mniej się wychylał. Żony, dzieci, ciepłe posadki, miłe kochaneczki...

Do wigilii jeszcze daleko, ale to już tylko kwestia kilku godzin. Za oknami pusto i szaro. Śniegu nawiało tylko tyle, że zrobiło się szarzej i smutniej. Kolejna wigilia. Podobna i niepodobna do tamtych. Dwa lata temu? Rok? To tak dawno? Nie, to można odtworzyć, chwilę po chwili, słowo po słowie, gest po geście. Można, ale po co? Po to, żeby stwierdzić, że przez ten cały czas nie posunąłem się ani o krok do przodu? Może to nie całkiem prawda, bo jednak życie toczy się bez przerwy, a ja tak nie byłem całkiem z boku. Może to i też prawda, że gdy chce się osiągnąć zbyt wiele, nie osiąga się nic, ale w tym świecie pomyłek, gdzie bez przerwy każą ci przestawiać się z jednego toru na drugi, nie istnieje żadna stacja docelowa? Może tylko ta ciągła jazda, ten ruch, to logiczny sens istnienia? Kręci się to wszystko błyskawicznie, a my chowamy się przed „Tym" jak szczury. Zagrzebujemy się w pracy, nauce i diabeł wie jeszcze w czym, aby nie widzieć zmarszczek, siwych włosów i nie stwierdzić, że jeszcze nic żeśmy nie zrobili i nic nie znaczymy.

Bez jedzenia wytrzymuje się ponoć trzydzieści dni. Ba, w niektórych częściach naszego globu tak się przyzwyczaili do „ubóstwa", że chronicznie niedojadają przez całe życie; często tylko trzytygodniowe, bo suche piersi matek nie są w stanie nic dać, poza łzami rozpaczy.

„To" zaczęło się już w sobotę, kiedy uchwalono podwyżkę. Niedziela przeszła jeszcze spokojnie, chociaż już zaczynały się dyskusje, ale tak na dobre rozhuśtało się w poniedziałek.

Najpierw zaszumiało w Stoczni, ale wszyscy po pracy wrócili normalnie. Na mieście zaczynały się już jednak „zaczepki". We wtorek było już wiadomo, że Stocznia wyjdzie na miasto. Wyszła, ale ojciec przyszedł jak zwykle do domu. Za to w środę! Nie wiedziałem, co się dzieje. Wbiegam do mieszkania. Matka siedzi, lamentując na cały głos, a naprzeciwko sąsiadka. O Boże! Słyszałeś, co się dzieje? Stocznia zamknięta i otoczona. Nikogo nie wypuszczają. Jezu! Jezu! Zastrzelą go! Mój biedny chłop!"

O ósmej poszliśmy do sąsiadki na „Dziennik TV". Same kobiety i dzieci. Chodziły wszystkie z nerwów jak osiki, a dzieciaki wrzeszczały w pokoju obok. O wpół do pierwszej próbowałem usnąć, ale to też nie była łatwa sprawa i tylko drzemałem. O trzeciej wrócił ojciec. Cały i zdrowy. Można było odsapnąć, ale jeszcze do czwartej nie spaliśmy. Gdy ponownie próbowałem usnąć, drzwi na klatce schodowej znów trzasnęły. Wracają sąsiedzi...

Sytuacja niby wyjaśniona, ale jak będzie naprawdę? To już mnie w zasadzie nie obchodzi. Jestem po prostu zmęczony i zobojętniały. Patrzę tylko i patrzę. Ludzie nawet nie wiedzą, jak się odsłaniają. Wychodzi z nich wszystko. Głupota, krwiożerczość, chciwość i zawiść. Nie nauczeni wiekowymi doświadczeniami. To się nigdy nie zmieni. Tylko tego nikt nie chce zrozumieć. Kłamią sobie nawzajem, potem popijają razem i dobrze im z tym, aż do czasu, gdy znów porwą się z miejsc i złapią za gardła jak wilk. Wszyscy! Kobiety, mężczyźni, a nawet dzieci! Nie ma zwierząt, oprócz starego tygrysa ludojada, które by były w stanie zabijać dla przyjemności. Tylko w ludziach drzemie ta pierwotna, okrutna siła, wyróżniająca ich od dzikich zwierząt. A może jesteśmy wszyscy chorzy, jak ten stary tygrys ludojad?

U nas wszystko robi się na hura. Gdy się coś spali, paru zabije czy po prostu zleje po mordzie, wtedy na jakiś czas następuje zmiana. Nieraz jest to ożywienie. Zobowiązania, czyny, deklaracje. A później! Po co później! Już teraz mają wszystkiego dość, tylko że już za późno, aby się pojedynczo wycofać.

„KAROL"
Gdańsk-Wrzeszcz
Fot. GABOR LORINCZY

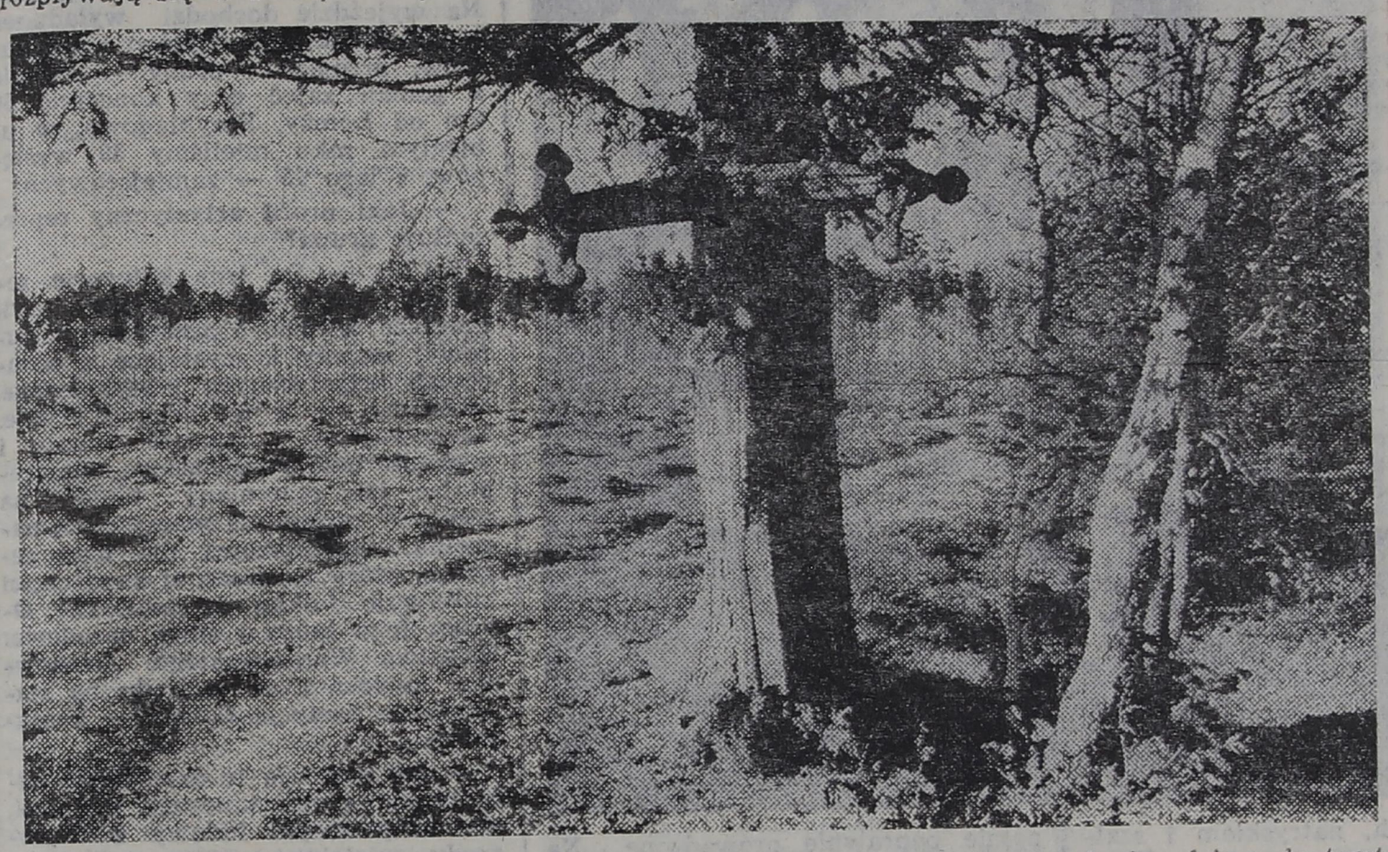

w powodzi kropli i myśli

Od rana dziś pada. Ile razy spojrzę na okno, to widzę zamglone szyby porysowane strużkami spływających kropli. Zawsze deszcz kojarzył mi się z mitycznym potopem i gdy byłam mała z nabożną powagą liczyłam dni niepogody. Jeden... pięć... dwanaście... I oddychałam z ulgą, bo liczba nigdy nie dochodziła do czterdziestu. Panicznie bałam się wody i umierałam ze strachu, że jak Noe trzeba mi będzie tułać się po zalanym wodą mieście by odpokutować za straszne winy. Wyobraźnia podsuwała mi niesamowite wizje, w których strach paraliżował język i myśli.

Teraz chciałabym mieć tylko takie kłopoty. Im jestem starsza, tym częściej stwierdzam, że nigdy nie jest naprawdę dobrze, a raczej chyba było, lecz tak dawno, że nie pamiętam kiedy.

Nawet lubię takie nudne dni. Wymyślam wtedy przeróżne problemy, przy których zwykłe sprawy bledną i odchodzą na bok.

— Mamo, czy nie sądzisz, że mogłybyśmy gdzieś wyjechać!

— Ależ, oczywiście. Przecież widzisz, że cię nie trzymam.

— Tylko mi nie chodzi o taki wyjazd do kumpla lub na gofra Co myślisz o Australii?

— Fantastyczne. Odrobiłaś już lekcje?

— Nie, ale słuchaj. Czy naprawdę nie przyszło ci do głowy by zmienić klimat?

— Aniu, przestań zawracać mi głowę. Czemu raptem do Australii.

— Bo to najbezpieczniejsze miejsce na świecie — powiedziałam cicho. Czasami myślę, że mogłabym przetrwać tam największą wojnę.

— Czy ty nie masz innych kłopotów? To zaczyna być nudne. Zajmij się czymś.

— Ten problem jest najdalszy, więc mogę zająć się nim już teraz. No dobrze, już mnie nie ma, pa!

Idiotyczne... To właśnie, gdy pada deszcz mam takie zagrania. Ale, do diabła, czemu nie mielibyśmy wyjechać do Australii? Czasami przychodzi mi do głowy skojarzenie, że rodzice to bardzo zajęte, zapracowane, istoty o przyklapniętych skrzydełkach. Chciałabym, żeby mama choć raz pojechała ze mną do kina na film o zakochanych smarkaczach, albo powiedziała, że wycieczka na Antypody to niezła rzecz.

Mam własny pokój, psa, telewizor, kieszonkowe. Rodzice kochają się, nieźle zarabiają, dają się naciągać na różne głupstwa czy ciuchy. Mogę wymieniać jak w różańcu. Więc w czym rzecz? Sama dokładnie nie wiem, co zaczyna odstawać. Ale gdy słucham codziennych rozmów o tym, gdzie można kupić nowe opony do wozu, że buty taty są solidne i przetrzymają jeszcze jedną zimę, że w czerwonej czapce wyglądam beznadziejnie, to czuję się jakbym patrzyła w garnek, gdzie gotuje się sam ryż. Pełno gęstego, szarego ryżu, który zje się na obiad z rosołem, ale nigdy nie będzie na deser. Przeraża mnie myśl, że tak jak oni kiedyś będę musiała kręcić się w dorosłym życiu dookoła dorabiania cieknących kranów, sobót i niedziel poświęconych praniu i sprzątaniu. Co jest najdziwniejsze rodzice nigdy nie skarżą się na tę codzienność. Owszem, tracą nerwy na różnych drobiazgach, ale żadne z nich nie powiedziało, że przydałoby się zmienić tryb życia. A ja bym chciała, żeby chociaż raz wpadli na myśl, że można stracić głowę i przehulać urlop za całoroczne oszczędności. Ale za to czuć, że zdobyło się parę szczytów na własnych nogach, przedeptało trzysta kilometrów lub na benzynę w czasie rajdu wydało się parę tysięcy. To wariackie, ale uważam, że konieczne, by poczuć jakąś radość z życia. Nie wiem czy oni — wiecznie w pośpiechu, biegu — pomyślą czasem „co mnie naprawdę cieszy". Na pewno są jakieś satysfakcje, małe sukcesy, ale gdy widzę, że okupione są tak dużym zmęczeniem i pracą, to myślę, że tracę zbyt wiele na swej wartości. Przechodzi się nad nimi w dalszy ciąg problemów i obowiązków.

Co się w nich zmienia. To nowe plany i dążenia, które jednak już po spełnieniu przestają wystarczać i tym samym wyznaczają kolejne... Tak układają się dni, miesiące, ale trudno mi się z tym pogodzić Wolałabym stracić teraz wszystkie dyskoteki, ale wiedzieć, że w zamian za nie będę miała fantastyczną, niepowtarzalną studniówkę, z tym jedynym wyśnionym chłopakiem przy boku i ze świadomością, że w domu czekają na mnie rodzice i choć raz przy wspólnej kolacji wzniesiemy toast za spełnienie marzeń.

Taki moment trzeba zauważyć i przedłużyć, by pamiętać, że nie straciliśmy czegoś po drodze i kiedyś, sięgając do wspomnień znajdziemy nie tylko szarą pustkę.

ANNA KRYSZCZUK
woj. Łomża

pokolenia

PREZENTACJE

— Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, zaproponowaliście Panowie salę prób zespołu. Nie wierzyłem własnym uszom, gdy padła nazwa WDK. Przecież jest zakaz ćwiczenia na tej sali.

Kazimierz Pawczyński, choreograf Zespołu Pieśni i Tańca „Łomża": — W każdej chwili, przy nadmiernym obciążeniu, mogą zawalić się stropy. Problem sali istniał od początku, tj. od listopada 1977 roku, gdy zjechaliśmy do Łomży tworzyć zespół, dowiedziawszy się o takiej potrzebie. Ja prowadziłem wówczas klub taneczny w Koszalinie, Sławek Kaszubski zespół pieśni i tańca w Bytowie. Znaliśmy się ze wspólnych spotkań instruktorskich, a potem wspólnie robionych imprez, m.in. programów tanecznych na dni kultury polsko-niemieckiej w Koszalinie i dożynki wojewódzkie, folklorystycznego programu Uniwersytetu Ludowego w Radawnicy (woj. pilskie), z którym byliśmy w Szwecji.

Sław Jan Rekosz, kierownik zespołu i jego kierownik muzyczny: — Założyliśmy jednak, że trzeba działać w takich warunkach, jakie są, a w miarę efektów władze będą nam stwarzać lepsze. Przez rok użyczyło nam sali Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, potem jego sympatia wyraźnie zbladła. Mamy dostęp do auli liceum ogólnokształcącego, ale ciągła eksploatacja tej sali na multum różnych okazji uniemożliwia systematyczne odbywanie prób. Korzystamy z niej okazjonalnie przy montowaniu nowych programów, a na stałe wróciliśmy do macierzystego WDK, gdzie odbywamy próby w kilku rzutach, po kilka par. Powrót wynikł też z przyczyn psychicznych. Zespół tworzy społeczność, czego dowodem chociażby skoligacenie w zespole 4 małżeństw. Tak zżyta grupa najlepiej czuje się u „siebie". Sale szkolne paraliżują psychikę młodych, przyzwyczajonych w takich warunkach do relacji nauczyciel-uczeń, gdy w zespole obowiązuje układ bardziej partnerski niż mentorsko-represyjny.

K.P.: — Obecna sytuacja jest taka, że w mieście nie ma sali odpowiadającej potrzebom zespołu, chociaż my widzimy możliwość adaptacji połowy baraku przy ulicy Turlejskiego, skąd niedługo mają się wyprowadzać różne urzędy. Można by wtedy mówić o faktycznym dalszym rozwoju zespołu, gdyż w obecnych warunkach osiągnął on swoje maksimum.

— Na czym ten rozwój by polegał?

S.J.R.: — Do zapewnienia ciągłości pracy zespołu i doprowadzeniu do mechanizmu wyzwalania rywalizacji potrzebne jest rozległe działanie z kilkoma grupami wiekowymi: młodszą dziecięcą, starszą dziecięcą, młodzieżową i tzw. pierwszym garniturem zespołu. Każda z tych grup może samodzielnie występować na scenie, ale pierwszy garnitur jest reprezentacyjny. Przejście z grupy do grupy powinno być awansem, a kryterium kwalifikacji do danej grupy: predyspozycje i nabyte umiejętności. Drugi czynnik, stanowiący o jakości zespołu a niezależny od prowadzących, to nabór członków. Aby wyzwolić dobrowolne zainteresowanie pracą ansamblu, prowadzi się wszechstronne wykształcenie artystyczne, w tym naukę tańców towarzyskich, dyskotekowych, charakterystycznych, współczesnych i ludowych; małe grupy chóralne, instrumentalne itd. Atrakcyjność takich form pracy byłaby dla potencjalnych tancerzy znacznie większa niż wstępowanie do zespołu pieśni i tańca o charakterze ludowym od razu, a dla nas byłby to środek do głównego celu: rozwijania w tym środowisku zainteresowania tańcem ludowym i przygotowania scenicznego przez zajęciem się tą dyscypliną sztuki. Gdy tak funkcjonuje struktura organizacyjna zespołu, może on normalnie się rozwijać. Potrzebny jest zatem w mieście jakby mały „kombinat" muzyczno-taneczny z dużą salą taneczną (minimum 12×10 m), małą salą prób tanecznych (minimum 12×8 m), salą ćwiczeń wokalnych i instrumentalnych, natryskiem i szatnią. Obecne pomieszczenie w WDK przeznaczyliśmy na kostiumernię. Gdyby oddano nam połowę tego baraku, pokazalibyśmy, co można zrobić.

— A co już zrobiliście?

S.J.R.: — Próby powołania do życia w Łomży zespołu istniały od 1963 roku. Przyjeżdżając tu przed czterema laty zastaliśmy zaledwie... dwie pary taneczne. Stosunkowo szybko uzupełniliśmy rekwizyty i kostiumy. Jednocześnie rozpoczął się nabór chętnych. Rozmowy z dyrektorami szkół niewiele dały. Poparli nas moralnie, ale namacalnego zainteresowania z ich strony nie doświadczyliśmy. Niemniej do lutego 1978 r. zebraliśmy prawie 50 osób na pierwsze zgrupowanie artystyczne w Międzyzdrojach, a w kwietniu już była premiera, i to od razu przed kamerami telewizji, do czego zmusiła nas po prostu sytuacja. Robiono program „Rzecz muzyczna — Łomża" i zespół przedstawił 20-minutową sekwencję folklorystyczną na 14 par. Potem przyszły następne koncerty w Łomży, województwie, poza nim, a także dwukrotnie w bułgarskim okręgu Widin.

K.P.: — Zespół otrzymał też w 1979 roku nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia za zasługi w upowszechnianiu kultury. Nasza grupa zasłużyła na to z pewnością za swój ogromny wysiłek, w piorunującym tempie przygotowując pierwszy program, chociaż była to nagroda na wyrost, jeśli idzie o poziom zespołu.

— Wróćmy do sprawy owego „kombinatu". Skąd wziąć do niego kadrę?

K.P.: — Zapewniamy naukę swoim członkom. Dzięki temu 5 osób ukończyło kurs instruktorów tańca II stopnia w Lublinie i Białymstoku. Oprócz tańca w naszym ansamblu mają oni własne zespoliki, zupełnie poprawnie prowadzone. Na II wojewódzkim przeglądzie zespołów pieśni i tańca województwa łomżyńskiego w roku ubiegłym taki właśnie zespół Barbary Wałkuskiej z Jedwabnego zajął pierwsze miejsce.

— Czy brak przestrzeni życiowej jest jedyną zasadniczą przeszkodą dla zespołu?

S.J.R.: — Właściwie tak, bo jej pokonanie pomogłoby rozwiązać inne kwestie, np. naboru. Szkoły hołubią dziś sport, stwarzając uczniom preferencje w nauce, a przy tym zakazując wręcz uczestnictwa w czymkolwiek innym. Ja po prostu tego nie rozumiem. Jeszcze gorsze rzeczy dzieją się w sporcie pozaszkolnym. Jeden z niedoszłych adeptów tańca, przy tym niezły piłkarz, odszedł od nas do „juniorków" ŁKS-u, bo tam... płacą. To ma być amatorstwo? Nie mówię już o dyrektorach zakładów pracy, dla których tańczenie ich pracownika w naszym zespole jest osobistą porażką. Sukces amatorskiego ruchu artystycznego w latach sześćdziesiątych polegał w dużej mierze na tym, że dyrektorzy szczycili się sukcesami artystycznymi swego personelu. Dziś poparcie dla sztuki wyparł mecenat sportu. Robiąc „kombinat" stworzylibyśmy wszechstronną ofertę twórczego życia.

— Niemniej panuje w mieście opinia, że dostanie się do Was jest dla młodzieży nie tylko atrakcyjne, ale daje także okazję beztroskiego i przyjemnego spędzania wolnego czasu.

K.P.: — To może spójrzmy na harmonogram zajęć zespołu. Próby są trzy razy w tygodniu po 3 godziny. Fizycznej pracy. Bez przesady — w pocie czoła. Oprócz tego koncerty. Godzinę przed miejscowym koncertem tańczący musi być na miejscu, m.in. odebrać kostiumy, przygotować je, zrobić charakteryzację. Potem przez dwie godziny tańczy i śpiewa na scenie; w międzyczasie przebiera się kilka razy „ze stoperem w ręku". Po koncercie porządkowanie kostiumów, zmywanie charakteryzacji, co trwa następną godzinę. Łączny czas związany z koncertem sięga 5 godzin. Na wyjeździe dochodzi wyładunek i załadunek rekwizytów i kostiumów, przejazd i próby — łącznie 9 godzin zajęć przy koncercie 50 km od Łomży. Przykładowo, w ubiegłym roku mieliśmy 30 występów, z tego 15 — zamiejscowych.

— Jaki profil artystyczny reprezentuje grupa?

S.J.R.: — Są trzy kategorie zespołów ludowych: in crudo czyli tańczące w sposób autentyczny, surowy; zespoły korzystające z opracowań artystycznych i stylizowane. Mieścimy się w tej drugiej grupie. Zachowujemy czystość tematu i wierność detalu tanecznego, zaszczepiając tak rozumiany taniec na scenę. W programie mamy suitę naczelną, obowiązkową dla tego regionu, który w znacznej swej części kultywuje folklor kurpiowski. Oprócz tego tańca i suity narodowe: Księstwa Warszawskiego, krakowska, łowicka i, ze względu na staropolskie tradycje Łomży — kontuszowa.

— Jak oceniają tę działalność autentyczne grupy taneczne z Kurpi, chociażby zespół ludowy z Nowogrodu, wielokrotny laureat ogólnopolskich festiwali sztuki ludowej w Kazimierzu Dolnym?

— K.P.: — Utrzymujemy z nimi kontakt. To przecież niewyczerpane źródło faktograficzne i inspiracyjne. Mieliśmy kiedyś wspólną próbę. Grała kapela zespołowa z Nowogrodu, nasz zespół tańczył. Uważali, że robimy to dobrze, bez skażeń. Zespół uczestniczył też w Dniach Kultury Staropolskiej w Ostrołęce i w opinii występujących tam zespołów in crudo wypadł pozytywnie. Podobały im się zwłaszcza nasze polifoniczne śpiewy.

— Czego życzyć zespołowi w nowym roku kulturalnym?

S.J.R.: — Przede wszystkim szybkiego powstania „kombinatu" taneczno-muzycznego.

K.P.: — I utalentowanego narybku.

Rozmawiał JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

potrzebny partner do tańca

sport na kusym piedestale

Temat Międzyzakładowego Łomżyńskiego Klubu Sportowego „Start" powraca co jakiś czas na łamy „Kontaktów". Nic dziwnego, bo klub i największy w województwie, i o najbogatszych tradycjach. Cokolwiek by się mówiło o nim zaczyna się od „naj". Zatem MŁKS to n a j w i ę k s z y problem sportowych władz województwa, klub o n a j w i ę k s z e j ilości drużyn w II lidze („aż" dwie, o n a j l i c z n i e j s z e j grupie młodzieży ćwiczącej w poszczególnych sekcjach sportowych) i wreszcie klub, który do niedawna miał imponujący dług — półtora miliona złotych! Sprawą najważniejszą z tej całej wyliczaniki jest to, że ŁKS jest klubem o n a j l i c z n i e j s z e j rzeszy sympatyków w samej Łomży i nie tylko. Im to spieszę donieść, że klub się odnowił, i to finansowo, więc bez obawy o niewypłacalność można przyjmować od MŁKS zamówienia na usługi. Finanse są niewątpliwie najważniejszym zagadnieniem w działalności klubu, ale nie jedynym, który by świadczył o jego potędze.

Ale wracając do pieniędzy — ich brak w ostatnim okresie znacznie ograniczył aspiracje niektórych szkoleniowców. Ale z drugiej strony, czy można nazwać aspiracjami żądania trenerów i instruktorów, aby ich podopieczni mieli trampki, tenisówki, trampkokorki, dresy, koszulki, torby itp.?

Obserwując od dawna poczynania ŁKS co rok widzę, że — niczym australijski bumerang — wraca problem sali do treningów sekcji tenisa stołowego. Może ktoś być tym zaskoczony — jak to, przecież grają, awansują do II, a ocierają się nawet o I ligę, zajmują we współzawodnictwie klubowym w sezonie 1980/81 siódme miejsce w Polsce. Nic, tylko przyklasnąć i patrzeć, jak w Łomży wyrośnie nam nowy Grubba czy Kucharski.

Otóż nie wyrośnie i to bardzo długo, jeżeli nie przełamie się sposobu myślenia kategoriami: aby jeszcze rok i jakoś tam będzie. Jak można mówić o popularyzacji tenisa stołowego, jeżeli przeciętny kibic, czy sympatyk tej dyscypliny, nie wie nawet, gdzie w Łomży rozgrywane są mecze ligowe. Pokazywano mi niedawno w klubie umowę zawartą ze szkołą, w której gościnnie, dzięki uprzejmości i przychylności jej dyrekcji, odbywały się treningi i mecze. Prawo wstępu mieli tylko zawodnicy. Szkoła, w obawie przed nadmiernym zaśmieceniem, i nie tylko, zastrzegła, aby mecze rozgrywane były bez kibiców. Jakże więc mówić o reklamie naszego rodzimego sportu? Czas chyba, aby łomżyński tenis zamiast tylko brać, mógł także publicznie pokazać swoje sukcesy i niemałe osiągnięcia. Sądzę, że nie lada rozrywką byłyby coniedzielne mecze II ligi, i przy minimalnej reklamie znalazłoby się na pewno sporo chętnych. Łatwiej też i dostępniej byłoby klubowi występować do zakładów pracy o jakąkolwiek pomoc, oferując w zamian zaproszenia na godziwe imprezy sportowe. W ciągu wielu lat — jak długo sięgam pamięcią — ile razy ktoś z administratorów sportu zabierał głos na temat osiągnięć, zawsze na pierwszym miejscu wymieniał sukcesy tenisa stołowego. Ale ukłony to za mało!

Od chwili, kiedy to Prezydent Łomży „wykolegował" — jak to określił Wymiatacz — ŁKS z pomieszczeń przy ŁZPB, gdzie byłaby stała baza dla tenisa stołowego, nikt z władz nie wyciągnął pomocnej ręki i nie przyczynił się do załatwienia bądź co bądź, społecznej sprawy. Mówię tu o konkretnej decyzji, gdyż — jak mnie poinformowano w klubie — sprawę sali załatwiono połowicznie, tylko na półtora miesiąca.

ANDRZEJ ANDRZEJEWSKI

24.09.1981 TV 30.09.1981

CZWARTEK 24 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. III — Literatura romantyczna w kraju po 1830 r. 6.30. TTR, RTSŚ — biologia, sem. III — Oddychanie organizmów. 8.10. Zoologia, klasa VII — Świat istot jednokomórkowych. 9.00. Język polski, kl. I lic. — Homer — „Iliada". 11.00. Muzyka, kl. II — Jaki to głos. 11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII — Pochodzenie człowieka. 13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. I — Rodzaje ruchu. 14.00. TTR, RTSŚ — biologia, sem. I — Podział i wzrost komórki. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik. 17.00. Dla młodych widzów: „Czwartek TDC" — „Nasz świat". 18.00. Informator turystyczny. 18.20. Magazyn lotniczy. 18.50. Dobranoc „Cypisek syn rozbójnika Rumcajsa". 19.00. „Sonda". 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. „Spadkobiercy Pani Burke" (2) — „Spisek rodzinny" — serial kryminalny prod. irlandzkiej. 21.15. Mistrzostwa Europy w siatkówce mężczyzn. 22.15. „Pegaz". 23.00. Dziennik TV. 23.15. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. NURT — Inowacje metodyczne w nauczaniu matematyki — Przykłady funkcji kwadratowych. 20.30. NURT — Przygotowanie do odbioru NURT — programów radiowo-telewizyjnych. 21.00. NURT — „Projektoskop, foliogram i fazogramy w praktyce szkolnej". 21.30. 24 Godziny. 21.40. Program publicystyczny. 22.10. XXV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 81".

PIĄTEK 25 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. I — Rodzaje ruchu. 6.30. TTR, RTSŚ — biologia, sem. I — Podział i wzrost komórki. 9.00. Geografia, kl. V — Lądy i oceany. 9.55. Krajobrazy Polski, kl. IV — Bieszczady. 11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII — Ustawa zasadnicza. 13.30 TTR — uprawa roślin, sem. III — Biologia i wymagania uprawowe buraków. 14.00. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III — Mechanizacja nawożenia mineralnego. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT — Zhierarchizowany system metod nauczania przyrodoznawstwa w klasach początkowych. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: — „Dziękuję, jakoś leci". 17.25. „W kręgu rodziny". 17.55. „Bliscy sąsiedzi, „Trzej niemądrzy pedagodzy", „Wąż Gustaw" — filmy animowane. 18.20. „Impulsy". 18.50. Dobranoc „Makowa panienka". 19.00. „Wędrówki z kamerą" — „Żółwie z Galapagos". 20.00. „Monitor Rządowy". 20.10. Na drugiej linii frontu (2) serial sens. prod. ZSRR. 21.50. „Listy o gospodarce". 22.35. Mistrzostwa Europy w siatkówce mężczyzn. 23.35. Dziennik TV.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. „Świat na małym ekranie". 20.30. „Taaka ryba" — poradnik wędkarski. 21.00. 24 Godziny. 21.10. „Program na dziś i jutro" — Elektrownie gospodarcze. 21.40. „Młodsza synowa" dramat obyczajowy.

SOBOTA 26 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, sem. III. Biologia i wymagania uprawa buraków. 6.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III. Mechanizacja nawożenia mineralnego. 7.00. TTR — uprawa roślin, sem. I. Znaczenie wilgotności i opadów w życiu roślin. 7.30. TTR — hodowla zwierząt sem. I. Układ krwionośny i oddechowy. 9.25. Program dnia. 9.30. Sobótka — magazyn młodzieżowy. 10.25. Warszawskie koło lotnicze — wojskowy film dokumentalny. 10.55. Klub dobrej książki. 11.20—23.30. STUDIO 2.

PROGRAM II

16.10. Program dnia. 16.15. Popołudnie przygody i podróży. 17.50. Pierwsze porywy (4) — serial fab. prod. ZSRR. 19.00. Program lokalny. 20.00. Godzina jazzu. 21.00. Program muzyczny. 21.30. Książę regent (5) — Ojciec i syn — angielski serial historyczny. 22.20. Poeci i ich wiersze — Jerzy Górzański. 22.35. XXV Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 81".

NIEDZIELA 27 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.10. TTR — Uprawa roślin sem. I. Znaczenie wilgotności i opadów w życiu roślin. 6.40. TTR — hodowla zwierząt, sem. I. Układ krwionośny i oddechowy. 7.10. TTR, RTSŚ — Wiedza naszą szansą. 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. Tydzień — magazyn rolniczy. 8.40. Telewizjada. 9.00. Dla młodych widzów — Teleranek. 10.25. Antena. 11.00. Tajemnice sztuki nowoczesnej — Fowizm, franc. film dokum. 12.00. Dziennik TV. 12.45. Telewizyjny koncert życzeń. 13.30. Kółka rolnicze wczoraj i dziś. 14.15. Odon Bujwid i jego ród — saga rodzinna. 14.45. Losowanie dużego lotka. 15.00. Teatr dla dzieci — Wojna o echo. 15.55. Program rozrywkowy. 16.25 Weterynarz — reportaż fimowy. 16.55. Zgadnij kim jestem. 18.00. STUDIO SPORT. 18.45. Proste pytania. 19.00. Wieczorynka. 20.00. Dłonie na oczach (2) — serial produkcji włoskiej. 21.10. Sportowa niedziela. 22.00. Juliette Greco — program rozrywkowy.

PROGRAM II

12.40. Program dnia. 12.45. Życie i walka — program wojskowy. 13.15. Telewizja młodych CDN — Kto na kogo czeka. 13.45. Przeboje tygodnia. 14.45. Spotkania literackie. 15.15. Teatr Wspomnień (1971) „Pan Tadeusz" Księga IV Dyplomacja i łowy. 16.15. Filmy dokumentalne. 17.15. Popołudnie fauny i flory. 18.00. Niewidomy, głuchy, niemy — film dokumentalny. 20.00. XXV Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 81". 21.30. Filmoteka Narodowa — Filmy Stanisława Różewicza „Samotność we dwoje".

PONIEDZIAŁEK 28 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

13.30. TTR, RTSŚ — matematyka sem. III — Ciąg artymetyczny. 14.00. TTR, RTSŚ — fizyka — sem. III. Magnetyczne właściwości ciał. 15.55. NURT — Kultura starożytnych Indian. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci — Kino Zwierzyńca. Świat dzikich zwierząt. 17.25. Giełda. 17.40. Ile jest życia (1) — Już wolni — serial społeczno-obyczajowy TP. 18.50. Dobranoc. 19.00. Echa stadionów. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Teatr Telewizji „Urlop zdrowotny". 21.55. Rozmowy literackie. 22.35. Dziennik TV. 22.50. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00—22.45 Spotkajmy się raz jeszcze.

WTOREK 29 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — matematyka sem. III — ciąg artymetyczny. 6.30. TTR, RTSŚ — fizyka sem. III. Magnetyczne właściwości ciał. 9.00. Język polski kl. V—VI. Maria Konopnicka — Józik Srokacz. 9.55. Język polski kl. II lic. William Szekspir — Hamlet. 12.50. Rodzina współczesna kl. I—II lic. Jacy jesteśmy. 13.30. TTR, RTSŚ — Język polski, Mikołaj Rej — ojciec literatury polskiej. 14.00. TTR, RTSŚ — Matematyka sem. I. Zbiór liczb rzeczywistych. 16.25. Pr. dnia. 16.30 Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: Skakanka. 17.30. Polska Kronika Filmowa. 17.40. W gościnie u Węgrów — reportaż filmowy. 18.10. CDN — Luzacy. 18.50. Dobranoc. 19.00. Klinika zdrowego człowieka. 20.00. Publicystyka DT. 20.15. Zwyciężyć siebie — angielski dramat obyczajowy. 21.55. Pierwsze ostrzeżenie czyli reforma przemysłu drobnego. 22.40. Dziennik TV. 22.55. Ocalić od zapomnienia — Płynie Olza po dolinie.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. Antykwariat — Z lat wojny i okupacji. 20.30. Wtorek melomana — XXV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień 81". 21.30. 24 Godziny. 21.50. Wieczór filmowy — filmy dokumentalne z lat 70-tych.

ŚRODA 30 WRZEŚNIA 1981 R.
PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — język polski sem. I — Mikołaj Rej — Ojciec literatury polskiej. 6.30. TTR, RTSŚ — matematyka sem. I. Zbiory liczb rzeczywistych. 11.00. Praca-technika kl. III. Zaprzęgniemy wiatr do pracy. 13.30. TTR, RTSŚ — Język polski sem. III. Styl utworów romantycznych. 14.00. TTR, RTSŚ — biologia sem. III. Wrażliwość i koordynacja procesów życiowych u roślin i zwierząt. 15.55. NURT — Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: Michałki. 17.30. Puchary Europy w piłce nożnej w przerwie ok. 18.15. losowanie Expres i małego lotka. 19.15. Dobranoc. 20.00. Puchary Europy w piłce nożnej. 21.45. Klub Jazzowy Studia Gama — Goście Old Jazz Meeting 81 — zespół Jazz Band Ball. 21.15. Raport o węglu. 22.45. Dziennik TV. 23.00. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. Film fabularny. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Program publicystyczny. 19.30. Dziennik Telewizyjny.

DOMY KULTURY

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Pozdrowienia z Bratysławy" — impreza estradowa (dochód przeznaczony na pomoc dla dzieci osieroconych i z rodzin rozbitych oraz opiekę dla ludzi samotnych i niedołężnych). 27 IX, godz. 13.00, 15.00, 17.00 i 19.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: giełda płyt i plebiscyt „Wybieramy listę przebojów miesiąca". 26 IX, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: wystawa prac plastyków-amatorów, czynna w godz. 8.00—19.00.

WYSTAWY

Biuro Wystaw Arytystycznych — Salon Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałkówi dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa malarstwa Zygmunta Kotlarczyka (czynna od 18 IX).

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): „Emigranci łomżyńscy w USA" (fotografia sprzed I wojny światowej).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Wojtek Surawski — „Ławki".

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne codziennie — oprócz poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych — w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): „Wiejski pejzaż" — czasowa wystawa malarstwa ze zborów Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00): „Zwierzęta domowe w malarstwie polskim" — czasowa wystawa dzieł wybitnych malarzy polskich ze zbiorów Muzeum Narodowego oraz prac współczesnych artystów z plenerów w Ciechanowcu.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.
Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 26 IX — ASO „Polmozbyt" w Piątnicy k. Łomży, ul. Stawiskowa, tel. 763-01; 27 IX — Zakład E. Lewandowskiego w Ciechanowcu, ul. Kozarska 11.

MIEJSKI DOM KULTURY — DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH w ŁOMŻY

ogłasza zapisy

na kurs 2-letni języka angielskiego, francuskiego i niemieckiego
Zainteresowanych prosimy o zgłaszanie się w Klubie „Bonar" codziennie w godz. od 10—15, tel. 32-26.

K 3343-1

MIEJSKI DOM KULTURY — DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH w ŁOMŻY

ogłasza zapisy

na kurs TAŃCA TOWARZYSKIEGO.
Wszystkich chętnych prosimy o zgłaszanie się do Klubu „Bonar" codziennie w godz. od 10—15, tel. 32-26.
Pierwsze spotkanie odbędzie się 1 października 1981 roku o godz. 17 w Klubie „Bonar".

K 3344-1

KOLEGIUM d/s WYKROCZEŃ przy PREZYDENCIE MIASTA ŁOMŻY podaje do publicznej wiadomości na koszt ukaranej, że orzeczeniem Nr rej. A-498/81 z dnia 2.IX.1981 r. **UKARAŁO Irenę Krasowską,** córkę Feliksa, ur. 5.IV.1952 r. zam. w Łomży, ul. 22 Lipca 35/34 **KARĄ GRZYWNY W WYSOKOŚCI 5.000 zł** za to, że w dniu 13.VIII.2981 r. jako sprzedawca kiosku Nr 586 RSW „Prasa—Książka—Ruch" odmówiła sprzedaży oraz ukryła przed nabywcami towary przeznaczone do sprzedaży takie jak: papierosy „Klubowe" i „Popularne", zapałki na łączną sumę 519 zł.

K 3345-1

KOLEGIUM d/s WYKROCZEŃ przy PREZYDENCIE MIASTA ŁOMŻY podaje do publicznej wiadomości na koszt ukaranej, że orzeczeniem Nr rej. A-501/81 z dnia 2.IX.1981 r. **UKARAŁO Melanię Piotrowską,** córkę Bolesława, ur. 26.XI.1928 r. zam. w Łomży, ul. Tońskiego 12 **KARĄ GRZYWNY W WYSOKOŚCI 5.000 zł** za to, że w dniu 13.VIII.1981 r. jako sprzedawca kiosku Nr 857 RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łomży odmówiła sprzedaży oraz ukryła przed nabywcami towary przeznaczone do sprzedaży takie jak: popierosy „Klubowe" i „Popularne", mydło „Zefir" i „Bambino", pastę do zębów, krem do golenia, płyn do naczyń „Amex" i „Magda", spirytus kosmetyczny, zeszyty szkolne o łącznej wartości 1.217,30 zł. działając na szkodę nabywców.

K 3341-1

STACJA HODOWLI i UNASIENIANIA ZWIERZĄT w PIĄTNICY ogłasza I PRZETARG NIEOGRANICZONY na sprzedaż samochodu marki „Fiat" 125p — 1500, nr silnika 052774, rok produkcji 1971,
cena wywoławcza 65.000 zł.
Przetarg odbędzie się w dniu 14 października 1981 r. o godz. 10 w Stacji Hodowli i Unasieniania Zwierząt w Piątnicy.
Wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej w przeddzień przetargu na konto Nr 45001-1195 NBP O/Łomża lub w kasie SHiUZ.
W wypadku nie sprzedania samochodu w I przetargu — II przetarg nieograniczony odbędzie się w dniu następnym o godz. 10.
Samochód można oglądać w dniu 13 października 1981 r. w godz. 7—13 na placu stacji.
Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

K 3342-1

Ogłoszenia drobne

BIURO matrymonialne „Piast", 84-300 Lębork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.

p 1226-0

GOSPODARSTWO rolne 10,5 ha, budynki w dobrym stanie (koło Zambrowa) — sprzedam. Stefan Tabędzki, Zakrzewo Stare 16. Zambrów.

p 1225-1

ELBLĄG — dwa pokoje z kuchnią, I piętro — zamienię na podobne lub mniejsze w Łomży. Wiadomość: Łomża, ul. Armii Czerwonej 11/15. Krzysztof Cwalina.

p 1224-1

biegaj razem z nami

Do udziału w I ULICZNYM BIEGU NADNARWIAŃSKIM zapraszają: Okręgowy Związek Lekkoatletyki WFS w Łomży oraz WKFSiT Urzędu Wojewódzkiego, Urząd Miejski w Łomży, Zarząd Wojewódzki ZSMP, Zarząd Oddziału Wojewódzkiego SZS, Wojewódzkie Zrzeszenie LZS, Zarząd Wojewódzki TKKF, WZSSP „Start" i Redakcja „Kontaktów".

Uczestnikiem biegu może być każdy kto ukończył 12 lat życia. Bliższych informacji udziela OZL WFS w Łomży ul. Zjazd 10, telefon 41-73. Tam też należy kierować zgłoszenia uczestnictwa w biegu.

Zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Maurycy Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy Redaktor Bartosz Alicja Basta, Jerzy Bielecki Jacek Grün Wiesław Janicki Andrzej Polecka Zbigniew Siedlecki Waldemar Szpaliński Andrzej Tchorzewski
RES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel. 34-95 40-32 telex 36328
Zam. 1430/81. Nakład 20.000 A-5 P1 ISSL 0208 6840 Nr indeksu 363285
nictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Wydawnictwo Prasowe RSW Prasa Książka Ruch Zakłady Graficzne Zambrów
18 400 Łomża ul Sadowa 10 tel 34-95 40 22 wersytkie biura ogłoszeń
Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZ
Adamczyk Lech Gizelbach, Wiesław Kot
Graficzny – Stanisław Kędzielawski Redak
Koziara, Klemens Krzyżagórski, Piotr K
Wojciech Woźniak KONCEPCJA GRAFI
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Sytuacja jest poważna, czyli mało korzystna. Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Narwiański, Biebrzański, Bużański i Dojlicki, znalazłszy się w tzw. sytuacji podbramkowej opracowały nową teorię defensywy ofensywnej. Dyskutowały też nad możliwością jakościowego wprowadzania w błąd gawiedzi. Okazuje się jednak, że wpuszczanie w maliny jest sposobem starym jak Piekło i od dawna stosowanym w niektórych obszarach władanych przez Lucyfera, Belzebuba i wielu innych leaderów piekielnych.

DOJLICKI: Na czym to stanęliśmy, kochani koledzy?

BUŻAŃSKI: Odnoszę subiektywne wrażenie, że na gównie...

NARWIAŃSKI: Apeluję o zachowanie najwyższego poczucia obowiązku i rozwagę. Moce piekielne patrzą na nas!

DOJLICKI: Liczne grono zacnych przyjaciół jest srodze zaniepokojone rozwojem wypadków w naszych rewirach.

BIEBRZAŃSKI: No, przecież mieszka się dobrze. Bardak zrobiliśmy taki, że nie widać końca, początku i nawet środka. Nie wiadomo też kim jest kto.

DOJLICKI: No właśnie, to bardzo niepokoi naszych przyjaciół.

NARWIAŃSKI: Przecież oni lubią takie porządki. Jestem zdania, iż należy potraktować ich niepokoje z pewną dozą wyrozumiałości, a nawet delikatnego lekceważenia.

BUŻAŃSKI: Bardak być powinien, ale bardak inspirowany, sterowany stymulowany i przy zachowaniu naszej kierowniczej roli oraz funkcji kontrolnej.

BIEBRZAŃSKI: Ja do tego nie mam głowy. Weźmy się raczej za nasze, czysto diabelskie, sprawy. Od myślenia jest Centrum Piekielne.

NARWIAŃSKI: U mnie np. bardzo ładnie przebiega adaptacja pewnego zespołu gmachów, którę niegdyś należały do Najważniejszej Instytucji, a teraz ma tam być coś do leczenia. Zadziałałem delikatnie i proszę bardzo! Nie widać końca adaptacji. Pieprzy się, za przeproszeniem, tym odnowicielom czy adaptatorom, że aż miło patrzeć.

BIEBRZAŃSKI: Albo mleczarnia w Grajewie. He, he... Jeszcze długo się z rozumem nie połapią. Wystarczy jeden sprawdzony i dobry szczep bakterii gamonium complex i już zaszczepieni urządzają się sami. Teraz w Grajewie nie ma porządnego zakładu mleczarskiego. Biebrza jest dalej truta przez kogoś innego i gdzie indziej, a przez parę miesięcy ludzie wodzili się za łby.

DOJLICKI: Róbta tak dalej, koledzy!!!

NARWIAŃSKI: Myślę, że dotychczasowe sukcesy trzeba wpisać do księgi „Zasłużony dla diabelskiego rzemiosła".

BUŻAŃSKI: Będzie w sam raz na doraźne podsumowanie osiągnięć we wdrażaniu teorii defensywy ofensywnej.

DOJLICKI: Ja przygotuję referat i sprawozdanie programowe. Myślę o wdrażaniu tej taktyki teoretycznej na innych szczeblach i polach naszej sfery działalności.

BIEBRZAŃSKI: Racja! Obecnie, jak nigdy, potrzebne są nam sukcesy. Nawet jeśli są one spektakularne. Diabelska propaganda nada im odpowiednią formę jak i treść.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Wykłady ilustrowane z historii sztuki polskiej

BŁĘDNE KOŁO

Koło jest wprawdzie figurą doskonałą, ale głównie z geometrycznego punktu widzenia. Ponieważ **Jacek Malczewski** — uczeń i spadkobierca Jana Matejki — był raczej historiozofem, symbolistą, prekursorem ekspresjonizmu i nadrealizmu, a najmniej geometrą, jego koło z doskonałości posiada głównie to, że jest zamknięte, a mówiąc dokładniej — s p ę t a n e. Jest to — jak wszystko co malował Malczewski — p o l s k i e koło „gigantów, w którym udział biorą: starzec o postawie biblijnego mocarza, rusałki gminnego pochodzenia, satyr — symbol jurnej witalności i polski Chrystus z ostrzyżoną głową. Wszyscy k r ę c ą s i ę w o k ó ł d r a b i n y, dając młodzieży wiele do myślenia i jeszcze więcej złego przykładu. Przedstawiciel młodzieży, który przysiadł na wierzchołku drabiny, zdaje się drzemać, co niezupełnie chroni go przed złym przykładem i myśleniem, ale jest za młody na to, żeby miejsce na drabinie wykorzystać w sposób właściwy. Jedno jest pewne: kręci się, ale więcej w tym Schopenhauera niż ludowego optymizmu.

DOC. DR SMOŁA

RODZI SIĘ MUZEUM

Pani Ewa Żórawska z Warszawy nadesłała do organizowanego Muzeum Demonów Straszydeł i Niesamowitości „Czarownicę z Edmonton" Taki tytuł nosi książka Thomasa Dekkera, dla której wątkiem stała się historia prawdziwa Matki Sawyer, oskarżonej o czary i straconej w XVII w.

Dziękujemy p. Ewie za dar i uprzejmie przypominamy wszystkim Czytelnikom, że czekamy niecierpliwie na wszelkie maszkary, wizerunki czarownic, diabłów, dziwadeł a także albumy, książki, dokumenty, zanotowane opowieści o tej właśnie tematyce. Hojność zostanie uhonorowana wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis wraz ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów".

Sennik — przepowiednie niechybne

DZIURY W UBRANIU

Dziczyznę strzelać — smutne przeżycia
Dziewczyna młoda — radość; płacząca — niedotrzymanie słowa
Dzieci — kłopot
Dzień jasny — wielka radość; dzień pochmurny — kłopoty w rodzinie
Dzięcioł — wesołe towarzystwo
Dziury w ubraniu — wielkie będziesz miał straty; dziury łatać — pogodzić się z kimś
Dzwony słyszeć — wesoła nowina; oglądać je lub dzwonić — będziesz zapraszać na wesele
Dzwonnica, być w niej — oczernianie
Echo słyszeć — intryga złej kobiety
Egzamin zdawać — straty
Egzaminować kogoś — wyświadczysz przysługę
Elegantka — znajdziesz się w niemiłym towarzystwie
Elegant — popełnisz głupstwo
Elementarz widzieć — zasmucisz się; czytać — zgubisz pieniądze
Encyklopedię czytać — korzystny interes
Esencję pić — dla kobiet kłopotliwe położenie; dla mężczyzn — wesele
Etażerka — powodzenie
Europę zwiedzać — pracowite życie
Ewangelię czytać — spokojność sumienia.

2 STAŁ SIĘ CZŁOWIEK
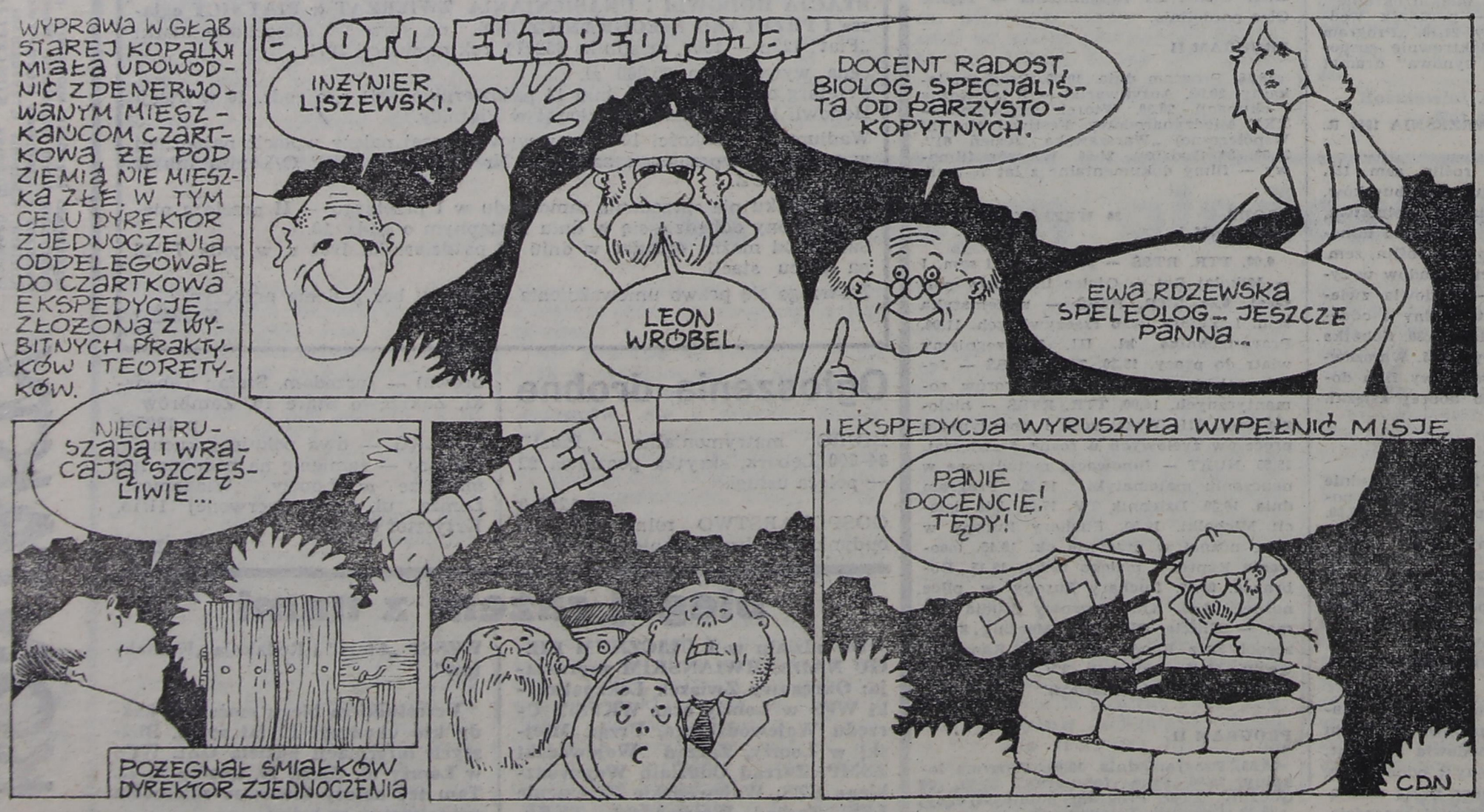
POMYSŁ: MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.: JÓZEF BURNIEWICZ